POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 13-go grudnia 1941r.*** **Rok III. Nr. 50**

TRZY KLĘSKI HITLERA

Gdy zaczynała się wojna niemiecko-sowiecka, stwierdziliśmy na tym miejscu, że nieodparta logika historii i geografii popycha Hitlera do ataku na Rosję, tak, jak zmuszony był do zaatakowania jej Napoleon. Potęga kontynentalna, walcząca z potęgą morską, jaką jest W. Brytania, a nie mogąca ugodzić jej bezpośrednio, musi szukać pośrednich dróg ataku. Atak na Rosję zawsze leżał w planach Hitlera i w "Mein Kampf" był naczelną ideą przewodnią polityki niemieckiej, ale w czerwcu 1941 nie był już urzeczywistnieniem tej idei, ani celem samym w sobie, lecz środkiem do celu—etapem w walce z W. Brytanią.

Toteż niezdolność do zakończenia kampanii rosyjskiej po przeszło pięciu miesiącach walk i perspektywy na rok 1942 stanowią porażkę Niemiec w pojedynku z W. Brytanią—trzecią wielką klęskę Niemiec w wojnie z potęgą morską. Dlaczego trzecią?—zapyta czytelnik. Dlatego, że Hitler próbował pokonać W. Brytanię z powietrza i—przegrał. Próbował pokonać ją na morzu i—przegrał. Teraz z kolei próbował pokonać ją na lądzie—i próba również okazała się daremna.

My, naród kontynentalny, nie jesteśmy w stanie w pełni pojąć wagi czynnika morskiego w tej wojnie. "Sea power" pozostaje dla nas pojęciem dość oderwanym i dość pohopnie krytykujemy Brytyjczyków, że nie zdobyli się do tej pory na stawienie czoła Niemcom na lądzie, że nie podjęli inwazji kontynentu itd.

Zresztą, nawet opinia brytyjska w ostatnich latach, zwłaszcza przed wojną, nie umiała się zdobyć na właściwą ocenę czynnika morskiego. Wojna światowa 1914-1918 daleko odbiegła od klasycznych linii wojen, prowadzonych przez W. Brytanię i wysunęła wojnę lądową przed wojnę morską. Miliony Brytyjczyków krwawiły we Flandrii, w Mezopotamii, w Dardanelach. Ypres, Somma, Paschendale—to były nazwy najbliższe każdej rodzinie angielskiej. Główny wysiłek W. Brytanii był—może po raz pierwszy w jej dziejach—na lądzie. Rola floty była mniej efektowna. Przez cztery lata wojny światowej tylko jedna bitwa naprawdę zelektryzowała opinię światową, a wynik tej bitwy był taki, że choć spowodowała usunięcie się floty niemieckiej z mórz, to jednak pozornie daleka była od zwycięstwa.

Toteż w okresie powojennym marynarka brytyjska napotykała na wielkie trudności. Odmawiano jej kredytów, uważano ją za luksus. Wyrzeczono się tak niesłychanie cennych baz irlandzkich. Ale instynkt morski narodu był zbyt silny a świadomość własnej roli we flocie zbyt wielka, by W. Brytania przestała być potęgą morską. Wiedział o tym Hitler i wyciągał z tego konsekwencje.

Nie może być wątpliwości co do tego, że Hitler nie chciał wojny z W. Brytanią. Pozostał on wierny doktrynie "Mein Kampf" i w tym punkcie. Nie znaczy to oczywiście, że wojna z W. Brytanią nie leżała w jego planach na dalszą przyszłość. Po opanowaniu całej Europy, po zdobyciu stoczni wszystkich krajów kontynentalnych, dzięki czemu mógłby wybudować flotę równie potężną, jak brytyjska, był by w stanie walczyć z W. Brytanią. Zakładał zresztą, że w tym wypadku W. Brytania już wyzwania by nie przyjęła. Ale tymczasem wojny z W. Brytanią pragnął uniknąć.

A gdy uniknąć jej nie zdołał, próbował raz po raz zawrzeć z W. Brytanią pokój "kompromisowy". Jedną próbę podjął po zwycięstwie nad Polską. Drugą po rozgromieniu Francji. I wiemy już dziś, jaką niespodzianką, jakim zaskoczeniem dlań była odmowa Londynu, zwłaszcza w lipcu 1940.

Nie mogąc nakłonić W. Brytanii do zawarcia pokoju, Hitler próbował ją do tego zmusić. A próbę tę podejmował w trojaki sposób: na morzu, z powietrza i na lądzie.

Najpierw Hitler przegrał próbę pokonania potęgi morskiej przez potęgę lotniczą. Prawdopodobnie przez dłuższy czas łudził się, że samolot przekreśli rolę okrętu wojennego. Doświadczenia wojny — jak wiadomo— wykazały, że pogląd ten tylko częściowo jest słuszny. Bombowce wyparły okręty wojenne z wąskich wód: w Norwegii flota brytyjska, nie mając dostatecznej ochrony lotniczej, nie mogła skutecznie interweniować, z bitwy o Kretę musiała się wycofać. Ale na Oceanach pozostała rozstrzygającą potęgą, a w połączeniu z potęgą lotniczą może uniemożliwić wszelką próbę inwazji. Gdyby oczywiście W. Brytania polegała jedynie na swej flocie, a nie doceniała lotnictwa, musiałaby przegrać. Ale tego błędu W. Brytania nie popełniła. Powietrzna "bitwa o W. Brytanię" była pierwszym punktem zwrotnym wojny: Niemcy przegrały w powietrzu.

Z kolei Hitler przegrał na morzu. Oczywiście rozumiał, że nie może stawić czoła potędze brytyjskiej w otwartej bitwie morskiej, ale liczył na to, że będzie w stanie atakami łodzi podwodnych, wspartych przez akcję lotniczą, i topieniem wszystkich czy bardzo dużej części transportów zagrozić W. Brytanii wygłodzeniem i zmusić by poszła na "kompromis" i zawarła pokój. Przez pewien czas odnosił sukcesy, ale od kilku miesięcy W. Brytania zdecydowanie wygrywa "bitwę o Atlantyk." Przeciętna zatopionego tonnażu tak została zredukowana, że tonnaż nowych statków już ją przewyższa. Hitler musi uznać, że tą drogą wygrać nie może, że W. Brytanii na kolana rzucić w ten sposób nie zdoła . . .

Pozostawała możliwość ostatnia, klasyczna droga Napoleona: próbować pokonać potęgę morską zapomocą potęgi lądowej. Gdyby Hitler szybko opanował Rosję, mógłby się zwrócić do W. Brytanii w te słowa: "Nie mogłem pokonać was na morzu, ani w powietrzu, to prawda. Ale i wy nie możecie mnie pokonać na lądzie. Nie macie już żadnego sojusznika. Cały kontynent jest w moim ręku i pracuje dla mnie. Nie zmoże mnie żadna blokada i nigdy nie będziecie w stanie zmusić mnie do kapitulacji."

Już dziś można stwierdzić, że i ten plan Hitlera nie powiódł się podobnie jak i inne. Hitler zdobył przestrzenie, ale nie zniszczył żywej siły Rosji. Zużył znaczną część swych własnych sił, swego sprzętu i swych zapasów, a czeka go jeszcze ciężka kampania w roku przyszłym. Jego aparat kontroli rozwadniając się w ogromnych przestrzeniach Europy, przestaje funkcjonować. Niemcy nie są w stanie zorganizować kontynentu tak, aby dla nich pracował. W Rosji zdobyli tylko kupę gruzów. I wiele czasu oraz więcej ludzi, niż mogą Niemcy znaleźć, byłoby potrzeba, aby uczynić z Rosji zaplecze dla wojny na przetrzymanie.

Gdy tak wszystkie trzy plany zmuszenia W. Brytanii do zawarcia pokoju zawiodły z kretesem i gdy żadna nowa "ofensywa pokojowa" nie rokuje najmniejszych szans powodzenia, jakie możliwości ma jeszcze Hitler? Jest rzeczą jasną, że nie skapituluje. Ale co może zrobić?

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że na morzu niczego już spodziewać się nie może. Teraz gdy flota amerykańska weszła do akcji Hitler nie może łudzić się, że zdoła blokadą powalić W. Brytanię na kolana.

Na lądzie Hitler musi prowadzić w tej czy innej formie kampanię przeciw Rosji, ale nie może się spodziewać, by nawet największe sukcesy na wschodzie w roku 1942 skłoniły W. Brytanię do zawarcia pokoju "kompromisowego" i pozostawienia Niemcom "wolnej ręki" na kontynencie, czy choćby tylko w Europie Wschodniej.

A w takim razie co pozostaje? Jedynie ponowienie próby inwazji z powietrza. Nie mogąc zwyciężyć W. Brytanii pośrednio, musi Hitler próbować pokonać ją atakiem frontalnym. Wprawdzie trudno przypuszczać, by mógł się spodziewać udania się inwazji: jeżeli atak lotniczy został odparty we wrześniu 1940, gdy *Luftwaffe* miała czterokrotną przewagę, to tym bardziej nikłe będą szanse na wiosnę 1942.

Ale trzeba się liczyć z taką możliwością, że inwazja będzie podjęta przy pełnej świadomości, że udać się nie może. Jej celem nie będzie podbój W. Brytanii. Nie, po prostu Niemcy poświęcą kilkadziesiąt czy nawet kilkaset tysięcy ludzi, aby dokonać możliwie największego zniszczenia W. Brytanii. Znaczna część nigdy nie doleci do miejsca przeznaczenia. Inne oddziały desantowe zostaną unieszkodliwione, zanim zdołają wyrządzić szkody. Ale jeśli noc w noc rzucać się będzie po kilka czy kilkanaście tysięcy spadochroniarzy, mogą oni wyrządzić szkody bardzo wielkie. I Hitler może się łudzić, że zwycięska wprawdzie, ale wyniszczona i skrwawiona W. Brytania pójdzie na zawarcie pokoju. W czym zresztą pomyli się raz jeszcze.

Jest jeszcze jedna możliwość. Jeśli by mu się wkońcu udało do tego stopnia osłabić Rosję, że nie byłaby w stanie podjąć ofensywy nawet z pomocą brytyjsko-amerykańską, Hitler mógłby się zwrócić w inną stronę i gdzie indziej próbować pokonać potęgę morską na lądzie. Mógłby raz jeszcze próbować operacjami lądowymi t.j. marszem przez Hiszpanię na Gibraltar i przez Turcję oraz Syrię na Suez, wyprzeć W. Brytanię z Morza Śródziemnego, w nadziei, że to może skłoni ją do "kompromisu." Ale rosnąca potęga W. Brytanii w basenie śródziemnomorskim czyni taką próbę co raz mniej nęcącą.

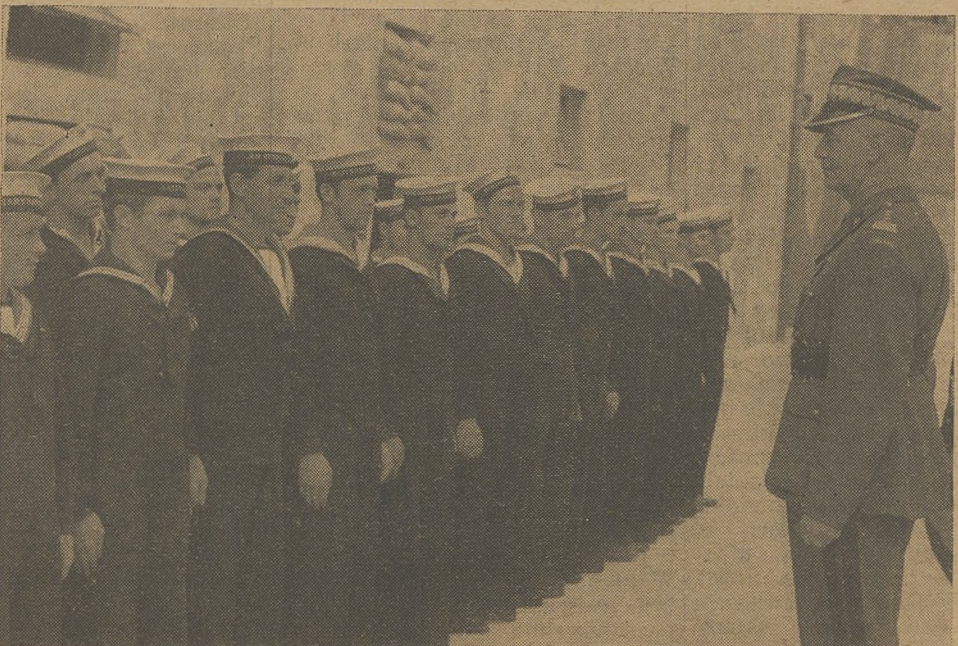
Jeszcze rok temu możliwości Hitlera wydawały się niemal nieograniczone. Teraz stają się one co raz węższe. Trzy wielkie klęski, które poniósł, przesądzają ostateczny wynik wojny. Raz jeszcze potwierdza się wyrok historii, która wskazuje, że nie sposób jest pokonać na lądzie potęgi morskiej. Gdy jest ona uzupełniona odpowiednią siłą w powietrzu, musi ona wyjść zwycięsko i z wojny nowoczesnej. A przykład Libii wskazuje, że "sea power," może zmusić przeciwnika do przyjęcia bitwy tam, gdzie ta potęga morska wyrównuje szanse lądowe zasadniczo słabszej na lądzie strony.

Sandy

Z podróży gen. Sikorskiego na Bliski Wschód



Gen. Sikorski na Gibraltarze (na lewo komendant twierdzy gen. Lord Gort)



Gen. Sikorski wśród marynarzy polskich kontrtorpedowców w bazie morskiej na Malcie

Odwet świata podziemnego

III.*

MIĘDZYNARODÓWKA PRZESTĘPCÓW

Posługiwanie się "zwykłymi sposobami gangsterskimi" w polityce i na wojnie było jedną z "wielkich idei" Hitlera. Drugą była mobilizacja na usługach Niemiec świata podziemnego Europy. Gdyby propaganda niemiecka była szczera, jej hasłem byłoby: "Przestępcy, wykolejeńcy, szubrawcy i awanturnicy wszystkich krajów łączcie się!"

Ta mobilizacja najgorszych elementów we wszystkich krajach była przeprowadzona w sposób świadomy i drobiazgowo przemyślany. Hitler wychodził z założenia, że w każdym kraju można znaleźć ludzi nie mających nic do stracenia, wykolejeńców wszelkiego rodzaju, jednostki ambitne, a bezwartościowe, zawiedzione w swych nadziejach kariery politycznej i gotowych zdradzić swój kraj, byleby zaspokoić własną ambicję i dorwać się do władzy, do koryta, czy do zaszczytów. Wiedział, że niektórych można przekupić, innych pozyskać perspektywą rządzenia, na jeszcze innych wpłynąć przez kobiety, wielu zaś zmusić do posłuszeństwa szantażem.

Hasło mobilizacji tego rodzaju elementów rzucił Hitler z całym cynizmem i otwartością. "Rewolucja francuska—oświadczył kiedyś Rauschningowi—apelowała do cnót ludzkich. My zrobimy lepiej, postępując odwrotnie".

"I nie wystarcza działać za pomocą słabości mas; słabość ludzi u szczytu jest ważniejsza. Wszechstronna znajomość słabostek i nałogów każdego z moich przeciwników jest pierwszym warunkiem sukcesu każdej polityki".

"Opracowałem kwestionariusz obejmujący szczegółowe dane o ludziach, którzy mnie interesują. Mam archiwa, zawierające dane o wszystkich wpływowych ludziach na świecie. Figuruje tam wszystko, co jest istotne. Czy weźmie pieniądze? Czy można go w jakikolwiek sposób kupić? Czy jest próżny? Czy jest zmysłowy? W jaki sposób? Czy jest pederastą?—To jest szczególnie ważne, gdyż stwarza ścisłe związki, z których dany człowiek nie może się nigdy wyzwolić.—A dalej: Czy w swej przeszłości ma cokolwiek do ukrycia? Czy można wywrzeć nań nacisk? Jakie ma interesy? Jakie ma nawyki, ulubiony sport, co lubi, czego nie lubi? Czy chętnie podróżuje?"

Te słowa Hitlera datują się bodaj z roku 1934. Można sobie wyobrazić jaką kolekcję dokumentów zebrał do chwili wybuchu wojny i jaki z nich zrobił użytek!

Trudno oczywiście dziś powiedzieć kogo pozyskał, grając na niezaspokojonej ambicji, kogo przekupił, kogo omotał takimi czy innymi sposobami, kogo szantażem zmusił do posłuszeństwa. Są wypadki jasne, jak np. przekupienie austriackiego ministra spraw zagranicznych Guido Schmidta, czy jugosłowiańskiego ex-premiera Stojadinovića, lub znanych z przekupstwa dziennikarzy paryskich. O wielu innych dowiemy się może w przyszłości, są tacy, których tajemnica pozostanie niewyjaśniona. Historia piątej kolumny Hitlera będzie w każdym razie jedną z najbardziej drastycznych powieści kryminalnych.

Obraz Europy Hitlera demonstruje jak dalece hasło "Przestępcy, awanturnicy i szubrawcy wszystkich krajów łączcie się!" zostało wprowadzone w życie.

Oto Rumunia. Relacje naocznych świadków "rewolucji narodowej" zgodnie stwierdzają, że był to dzień triumfu świata podziemnego. Uwolnieni z więzień przestępcy, wszelakie męty społeczne do spółki z żelaznogwardzistami wyszły na ulicę, by bezkarnie rabować, rżnąć i niszczyć. Gdy kiedyś sceny tych dni opisze jakieś pióro artysty, okaże się, że zbledną sienkiewiczowskie opisy wyczynów ukraińskiej czerni.

Oto Chorwacja, najnowszy twór państwowy z łaski Hitlera, wykrojony z żywego ciała Jugosławii. Jej wódz Pavelić, król terrorystów, od lat pozostający na usługach obcych mocarstw, organizator mordów i zamachów wszelkiego rodzaju. Szef policji —pan Karlovać, który niedawno odsiadywał karę wieloletniego więzienia. I bynajmniej nie za jakieś polityczne przestępstwo! Po prostu za napad rabunkowy na bezbronną staruszkę. Inne stanowiska obsadzone w ten sam sposób.

Oczywiście w krajach zachodnich ludzie Hitlera muszą być inni. Tu już nie wystarcza wyciągać ludzi z więzień i obsadzać nimi stanowiska. Za to pod dostatkiem jest ambitnych miernot, jak Quisling, czy Darlan, którzy dla władzy poświęcą wszystko.

70 MILIONÓW WSPÓLNIKÓW

Była dotąd mowa o Hitlerze i hitlerowcach i być może niejeden czytelnik skłonny jest zadać pytanie: Czyż by należało stąd wyciągnąć wniosek, że winę ponoszą wyłącznie oni? Czyż tego rodzaju pogląd Niemiec nie jest wodą na młyn tych, jeszcze dość licznych Anglików, którzy twierdzą, że należy rozróżniać "dobrych" i "złych" Niemców.

Sprawa nie jest prosta. Teza, że obok złych "nazi" są "dobrzy," poczciwi Niemcy, rozkochani w muzyce i piwie, jest z gruntu fałszywa. Ale z drugiej strony, fałszywa byłaby także teza, że Niemcy dzisiejsi niczym się nie różnią od wiecznych Niemiec, zaborczych, chciwych i okrutnych. Niemcy dzisiejsi, choć w dużej mierze robią to samo, co ich ojcowie i praojcowie, to jednak są inni. Inni i gorsi. Nie liczyć się z tym, byłoby ogromnym błędem.

Droga do zwycięstwa prowadzi poprzez zrozumienie i wyciągnięcie wniosków, zwłaszcza w dziedzinie propagandy, z faktu, że mamy do czynienia z innymi Niemcami, z narodem chorym, skorumpowanym, zwyrodniałym, z 70 milionami wspólników największego gangstera, jakiego zna historia.

Już sam fakt, że ten człowiek mógł stać się wodzem narodu i to jakimś półbogiem, otaczanym bałwochwalczą czcią, stanowi wyrok na naród niemiecki. To samo już zaprzecza teorii o "drugich," lepszych Niemiec. Gdyby istniały, musiałyby się przeciwstawić czynnie temu triumfowi świata zbrodni.

Nie ulega wątpliwości, że pierwiastki zła, walczące w duszach ludzkich z pierwiastkami dobra, muszą być silniejsze u Niemców, niż u innych ludzi. Pod tym względem można istotnie mówić o wiecznych Niemczech. Od Germanów z Lasu Teutoburskiego poprzez średniowiecznych Raubritterów aż po zdemoralizowane Niemcy lat powojennych, zbrodnicze instynkty i słabość hamulców moralnych były rysem charakterystycznym niemieckości. Nie jest chyba rzeczą przypadku, że wśród największych zbrodniarzy sądzonych w latach powojennych przez trybunały różnych krajów naród niemiecki był silnie reprezentowany. Dość przypomnieć wampira z Duesseldorfu czy wampira z Wersalu.

Te, drzemiące w duszach niemieckich instynkty zbrodnicze nie tłumaczą jednak wszystkiego. Przy całym swym okrucieństwie i zaborczości Niemcy z przed lat 25 choćby, czy 50 były inne i lepsze. Religia, skrupuły moralne, wychowanie, etyka, poszanowanie prawa—wszystko to łagodziło złe instynkty dusz germańskich. Nie było masowej korupcji, nie było tego zupełnego zaniku hamulców moralnych, ani tego zbiorowego, zwierzęcego sadyzmu, jakiego świadkami jesteśmy dzisiaj.

Jak więc się to stało? W jaki sposób uczynił Hitler dziesiątki milionów ludzi wspólnikami swych zbrodni?

WYCHOWANIE NA ZBRODNIARZY

Jak wszystko u Hitlera, wychowanie Niemców na zbrodniarzy było przeprowadzone metodycznie i planowo w ciągu szeregu lat. Instrumentem rozbudzenia instynktów zbrodniczych i zabicia skrupułów moralnych było wszystko. Służyła temu teoria "*Herrenvolk'u*—narodu panów, któremu wszystko wolno. Służyła temu nieubłagana walka z kościołem i z religią, czyto katolicką czy też protestancką. Wreszcie szczególną rolę odegrały pogromy żydowskie. To było seminarium wszelskiego przestępstwa, znęcania się nad słabszym, rabowania cudzego mienia, szantażu i pobierania okupu, to było zabijanie wszelkich odruchów sumienia, zaprawa do późniejszych zbrodni.

Młode pokolenie niemieckie przeszło tę szkołę w ciągu lat kilku. Zostało wyzute z uczuć ludzkich. Gdy przyszedł rok 1939 —było gotowe do wszelakich zbrodni w krajach okupowanych.

SŁABY PUNKT: MORALE

Ale takie stłumienie wszelkich skrupułów moralnych, taka masowa deprawacja dusz i łamanie charakterów nie może być bezkarne. Słabą stroną świata zbrodni jest jego niskie morale. Zbrodniarz pozbawiony oparcia w religii czy w etyce, mający choćby przebłyski wyrzutów sumienia, bojący się kary za swe winy, łatwiej może się załamać niż ktokolwiek inny. Wiarę i religię musi zastąpić astrologia, wszelakie jasnowidztwo i szalbierstwo. Nie wierząc w Boga, Hitler i jego ludzie muszą przynajmniej wierzyć w gwiazdy. Rozkwit "tajnej wiedzy," astrologii i t.d. w Niemczech jest jednym ze zjawisk szczególnie zadziwiających.

W szeregach armii niemieckiej, zanotować można inne znowu zjawisko. Relacje z krajów okupowanych wskazują na nagminną narkomanię, masowe zażywanie morfiny, pijaństwo, szał użycia. Zastrzyki jakie otrzymywali żołnierze niemieccy a zwłaszcza lotnicy, przed akcją są rzeczą powszechnie znaną. Oczywiście jeśli się raz zacznie narkotyzować, trudno jest się odzwyczaić.

Tak oto niemieccy "zdobywcy świata" próbują zapełnić wewnętrzną pustkę, tak usiłują uciec przed myślą, że nadejdzie dzień kary. Nie ma bodaj grzesznika, jakkolwiek byłby on zatwardziały, któryby czasem chociaż nie zadrżał na myśl, że prędzej czy później dosięgnie go karząca dłoń sprawiedliwości. To jest piętą achillesową hitlerowskich Niemiec: strach przed jutrem.

Rzeczą propagandy sprzymierzonej jest bić w ten słaby punkt. Obiecywanie Niemcom dobrobytu gospodarczego w nadziei, że skłoni ich to do obalenia Hitlera jest równie naiwne jak np. obiecywanie gangsterom amerykańskim, że jeśli zaprzestaną bandyckiego procederu, będzie im się doskonale powodzić. Hitler obiecał Niemcom jako łup bogactwa całego świata, gdy im teraz ktoś proponuje mozolne zarobienie na kawałek chleba, śmieją się w kułak. Załamać się mogą tylko wtedy, gdy strach przed karą spędzać im będzie sen z powiek.

Jedyny w swoim rodzaju charakter hitleryzmu narzuca światu konieczność polityki również bez precedensu. Nie może być neutralności, nie może być oglądania się na prawo międzynarodowe. Tu nie ma wyboru. Albo bandyta zwycięży i narzuci wszystkim narodom dyktaturę świata podziemnego, albo policjant nałoży mu kajdanki i postawi przed sąd.

Tak, przed sąd. Na zakończenie tej wojny bez precedensu nie może być normalnej konferencji pokojowej, a jedynie proces przed trybunałem, reprezentującym prawo i cywilizację. Ten trybunał oceni stopień winy poszczególnych winowajców, od szefa bandy począwszy, a na wielkiej masie bezimiennych wspólników skończywszy. Będzie musiał znaleźć drogi, aby wyrządzone krzywdy choć w części zostały naprawione. Będzie musiał także znaleźć odpowiedź na trudne pytanie: Jak wychować Niemców do życia według praw boskich i ludzkich? Co zrobić z tym narodem wykolejeńców, aby go uleczyć i normalnym uczynić?

Aleksander Boray

* Por. nr. 48 i 49 "Polski Walczącej," Niniejszy artykuł jest ostatnim z cyklu.

Przegląd polityczny

Przebieg kampanii libijskiej jest klasycznym przykładem szkody, jaką może wyrządzić niepotrzebna propaganda i reklama ludzi, nie orientujących się w nowoczesnej wojnie. Z chwilą rozpoczęcia ofensywy brytyjskiej, zaczęto głosić na łamach prasy "błyskawiczny sukces" i dojście do Trypolisu w ciągu kilku dni. Z chwilą, kiedy tempo walk zmniejszyło się—różni, domorośli a niepozbawieni tupetu stratedzy, kręcą nosem i niepotrzebnie wykrzywiają twarze. Ci sami, którzy dwa tygodnie temu udowadniali, że zajęcie Benghazi jest niemal sprawą godzin—("pan nie docenia roli lotnictwa, kolego")—wyrażają obawy o Egipt i Kanał Sueski.

W rzeczywistości o żadnym zawodzie nie może być mowy. Atak brytyjski był wspaniałym manewrem najzupełniej w stylu nowoczesnej wojny. Uderzono śmiało na nieprzyjaciela, który nie spodziewał się natarcia. Moment zaskoczenia, tak decydujący w akcji, ten moment, o którym mówił Napoleon, że "w trzech czwartych decyduje o losach bitwy"—został wyzyskany znakomicie. Niemcy ponieśli bardzo ciężkie straty, albowiem nie spodziewali się rozpoczęcia ofensywy brytyjskiej przed nadejściem większych rezerw. Nie spodziewali się, że Anglicy uderzą na nich mniejszymi siłami, aniżeli niemieckie i włoskie.

Dzięki temu poszły w drzazgi całe niemieckie brygady pancerne a mało brakowało, aby nie została zniszczona w ogóle armia Rommla. Sukces brytyjski był olbrzymi nietylko pod względem strategicznym, ale i taktycznym. Zadał bowiem kłam starym a dzisiaj już wyświechtanym teoriom, że atakując nieprzyjaciela, trzeba być koniecznie dwukrotnie a nawet trzykrotnie silniejszym od niego. Dowództwo brytyjskie wyciągnęło wszelkie konsekwencje z walk we Francji z maja 1940 roku. *Wyrwanie nieprzyjacielowi tajemnicy jego powodzenia, pobicie wroga jego własną bronią—jest pierwszym krokiem do wygrania kampanii.*

Dlatego też przebieg walk libijskich napełnia nas całkiem uzasadnionym optymizmem. Śmiały manewr połączony z dużym ryzykiem, całkowite zaskoczenie przeciwnika, utrzymanie inicjatywy akcji mimo słabszych sił własnych—oto czynniki, które cechują dotychczasowy przebieg działań wojennych w północnej Afryce i zapiszą się z pewnością złotymi zgłoskami na kartach dziejów oręża brytyjskiego.

Dlaczego wojska brytyjskie i polskie nie wyparły dotychczas Niemców z Cyrenajki? Odpowiedź prosta. Brak rezerw, który, jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, rozstrzygnął o sukcesie brytyjskim (Niemcy nie spodziewali się ataku)—dał się odczuć, skoro dowództwo niemieckie skupiło wszystkie siły zarówno własne, jak i włoskie pod Tobrukiem. W akcji nastąpiła przerwa, wywołana koniecznością ściągnięcia posiłków brytyjskich, które tak czy tak miały nadejść na front libijski. Skoro te rezerwy nadejdą, akcja ofensywna rozpocznie się na nowo. Jej przebieg będzie z pewnością korzystny—pod jednym warunkiem: jeżeli Niemcom nie uda się przerzucić większych sił do Afryki. Wie o tym berliński sztab generalny i dlatego Goering, umyślnie dotąd trzymany w cieniu odgrywa rolę—w rozmowach ze starym Pétainem.

W zalakowanej kopercie wręczono marszałkowi Francji żądania, dotyczące baz we francuskiej Afryce Północnej. Bronił się przed ich wydaniem Weygand bo wiedział dobrze, że ustępując Hitlerowi w Tunisie i Algierze—*Francja traci jedyny i ostatni już zastaw, ostatnią możność gry politycznej w basenie Morza Śródziemnego*, a co za tym idzie w całej polityce międzynarodowej. Dotychczas Francja, mimo katastrofy, mimo kapitulacji, mimo strasznych błędów rządu w Vichy, miała jednak lepsze stanowisko i korzystniejszą pozycję, aniżeli np. Włochy. *Z chwilą oddania portów w Północnej Afryce—staje się Francja nie podmiotem, ale przedmiotem dalszej gry politycznej, dalszej wojny między światem anglosaskim i sprzymierzonych z nim państw, a Trzecią Rzeszą.*

Jakie mogą być następstwa rezygnacji rządu w Vichy z resztek niezależności państwowej? Takie same, jak z udzielenia Niemcom prawa korzystania z lotnisk i portów w Syrii. Wiecej jeszcze. Niemcy w Dakarze i Marokku to nie tylko całkowicie pewna interwencja Anglii w posiadłościach francuskich, ale również bardzo prawdopodobna interwencja Stanów Zjednoczonych. I to nie tylko w Gujanie francuskiej, ale i w północno-zachodniej Afryce. W Waszyngtonie z pewnością nie będa przypatrywali się obojętnie usadawianiu sie Niemiec nad "amerykańskim Pas de Calais"—to jest na wybrzeżu najbliższym lądowi Nowego Świata. Nie ma dzisiaj izolowanych krajów i narodów, wszystkie sprawy międzynarodowe zazębiają się wzajemnie—i przebieg akcji w Libii może mieć bezpośredni wpływ na wybuch oficjalnej wojny między Stanami Zjednoczonymi a osią.

W czasie kampanii moskiewskiej 1812 roku, ks. Józef Poniatowski doradzał Napoleonowi przezimowanie pod Smoleńskiem i na Ukrainie, aby z wiosną 1813 roku, uderzyć jednocześnie na Moskwę i Petersburg. Napoleon odrzucił plan, hołdując swej dawnej zasadzie krótkiej, gwałtownej i druzgocąco zwycięskiej kampanii. Kto powtarzał argumenty polskiego ministra wojny Hitlerowi? Podobno von Kleist. Skoro okazało się, że wojna niemiecko-rosyjska musi zaciągnąć się i na zimę 1941 roku—w sztabie niemieckim wysuwano pomysły wstrzymania akcji na froncie wschodnim i przerzucenia dużych mas lotnictwa oraz części armii lądowej na zachód. *Terenem działań zimowych miał stać się basen śródziemnomorski.*

Hitler odrzucił plan, spodziewając się zajęcia Moskwy i północnego Kaukazu jeszcze w listopadzie 1940. Możliwe również, że jakaś mistyczna wiara w spełnianie się jego zapowiedzi—pchała Führera w dalszą awanturę na olbrzymich obszarach rosyjskich. Konsekwencje tego kroku okazały się niebawem: *armii niemieckiej, rozciągniętej na największym froncie, jaki znają dzieje wojen—zaczęło braknąć tchu.* W wojnie błyskawicznej, ten kto nie idzie na przód, musi zacząć się cofać. I południowa armia niemiecka już cofa się z pod Rostowa.

Następstwa tej niewątpliwej klęski, mogą być bardzo poważne. *Sztab niemiecki może znaleść się w konieczności znacznego skrócenia frontu, bardzo silnego cofnięcia się na zachód.* Byłoby to logiczne i całkowicie uzasadnione trudnościami w utrzymaniu etapów w kraju zniszczonym i komplikacjami w dowozie zarówno sprzętu, jak i paliwa.

Jeżeli ma się zimować w Rosji, *to stanowczo korzystniej byłoby zająć linię Dźwina-Dniepr z ubezpieczeniem w Finlandii i Kurlandii.* Ale tu wchodzą w grę motywy prestiżowo-propagandowe, tak ogromnie ważne w wojnie totalnej. I wojska Führera podejmą jeszcze raz rozpaczliwą próbę zdobycia Moskwy i odzyskania Rostowa. Dopiero gdyby to zawiodło, możemy się spodziewać jakichś, pozornie sensacyjnych przegrupowań armii niemieckiej na skróconej linii frontu. Nie jest wykluczone, że wówczas podjęto by plan ratowania nadszarpniętych akcji na wschodnich i zachodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego zarówno w Hiszpanii jak i w Turcji. Zwłaszcza atak na Turcję i wielki manewr okrążający byłby w stylu Hitlera i ze wszystkimi niespodziankami w najbardziej newralgicznym terenie wojny, to jest w Małej Azji i Północnej Afryce.

Na Dalekim Wschodzie po alarmach wojennych i odwoływaniu tych alarmów—nastąpiło wreszcie przejście od wojny nerwów według niemiecko-włoskiego wzoru do wojny regularnej. Japonia napadła Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię—potwierdziła tym jedność tych mocarstw. Napaść nastąpiła napewno na życzenie Hitlera. To stanowi jeszcze jeden pośredni dowód, jak czuje się on w tej chwili zagrożony.

tk

Ś.p. Kapitan Wiktor Brummer

We wrześniu ubiegłego roku otrzymałem rozkaz zameldowania się w Referacie Oświatowym Dowództwa I Korpusu.

Kiedy po długim szukaniu dotarłem do leżącego na odludziu zameczku "*somewhere in Scotland,*" skierowano mnie na pierwsze piętro. Ze ścian klatki schodowej patrzyły na mnie zczerniałe portrety lordów szkockich. Duży salon zamieniono na główną salę operacyjną sztabu. Obok miękkich, wdzięcznych w linii kozetek, stoją twarde ławki żołnierskie. Delikatne, chwiejne stoliki i stoliczki mahoniowe sąsiadują z prostymi, sosnowymi stołami polowymi. Na puszystych dywanach perskich stoją duże paki i skrzynie z aktami. Na ścianach obitych adamaszkiem, obok luster weneckich i starych, cichych obrazów, wiszą mapy sztabowe. Jest tak ciasno, tylu tu ludzi, oficerów, szeregowych, że trudno się przecisnąć.

W kącie duży, koncertowy, czarny, hebanowy fortepian. Przy nim stoi tęgi, niewysoki oficer. Akta rozłożył na fortepianie i coś pisze. Był to kapitan Brummer, zastępca kierownika Referatu Propagandy i Oświaty Korpusu. Obrzucił mnie jasnym spojrzeniem, przyjął mój meldunek z życzliwym uśmiechem, podał ciepłym ruchem rękę, przeprosił, że nie prosi siadać, ale sam nie ma krzesła i przystąpił do rzeczy. Szło o jakieś zadanie plastyczne.

Po chwili zapomniałem, że są jeszcze inni ludzie w pokoju prócz nas, że bez przerwy ktoś wchodzi i wychodzi. Nie słyszałem bezustannych dzwonień telefonów, trzydziestu krzyżujących się rozmów i nawoływań. Ton i sposób w jaki mówił, sprawiły, że byłem tak samo jak on przekonany, iż to, że jest wojna i że wskutek niej takie a nie inne są warunki naszej pracy, nie zwalnia nas ani na chwilę od najwyższego wysiłku, ba, że zadaniem naszym tym bardziej jest baczyć, by wszyscy wokół nas rozumieli, że sprawy kultury są wieczne i najważniejsze i że wojna nakłada na nas tylko większe jeszcze obowiązki wobec niej i tym dostojniejszym okrywa ją płaszczem.

Pracowałem potem—w innym już zameczku, w spokojniejszych już warunkach—przeszło rok u Jego boku, aż do chwili, kiedy wypadło mi oddać Mu najsmutniejszą, ostatnią posługę. Widziałem go przez długie miesiące, codziennie od rana do późnej nieraz nocy, przy pracy i odpoczynku, ale właściwie niedużo istotnych czy nowych rzeczy dodał ten rok do mego pierwszego o Nim wrażenia.

Istotne bowiem były w nim dobroć, rzetelność i wiara w sprawy—miejmy odwagę nazwać je po imieniu—szlachetne. Znał tylko jedną miarę rzeczy: pożyteczność dla spraw kultury polskiej. Innego stosunku do spraw nie znał i nie chciał znać. Oburzał się żywo i do głębi, jeśli zauważył u kogoś pobudki osobiste w odniesieniu do spraw wojska czy oświaty. Nigdy nie wysuwał swej osoby na plan pierwszy. Pozostawał świadomie w cieniu i był szczęśliwy, jeśli jakaś jego inicjatywa dawała dobre rezultaty. Radował się tak samo, gdy praca udawała się komuś innemu. A nade wszystko był lojalny: wobec spraw i wobec ludzi.

Nie mówił nigdy o sobie. Dopiero z opowiadań jego przyjaciół dawniejszych, dowiedziałem się historii jego życia. Jest to historia równie prosta i jednolita, jak prosty i jednolity był człowiek. Oto ona: jako młody chłopiec wstąpił do Legionów. Jako żołnierz drugiej Brygady bił się dzielnie i zdobył Krzyż Walecznych. Potem przez blisko ćwierćwiecze służył oświacie żołnierskiej. Redagował "Wiarusa Polskiego," sekretarzował "Bellonie," redagował "Żołnierza Polskiego," "Teatr Żołnierski," pracował w Wojskowym Instytucie Naukowo-Wydawniczym, wreszcie był kustoszem Archiwum Wojskowego.

Kiedy w smutnych dniach wrześniowych 1939 roku znalazł się w obozie internowanych w Rumunii, uważał to tylko za dalszy etap pracy. Warunki były niewątpliwie inne, ale obowiązki te same. Wespół z Ottonem Laskowskim przystąpił do wydawania "Wiarusa na Obczyźnie." Nie było tam frazesów. Szumne słowa, w jego pojęciu, mogły raczej podawać w wątpliwość, niż potwierdzać prosty nakaz: Ojczyzna, chwilowo obezwładniona, tym bardziej wymaga największego wysiłku od wszystkich swych dzieci. Jest to oczywiste i jasne.

Dalszym etapem była jego praca jako oficera oświatowego trzeciej dywizji we Francji. Wreszcie ogromny wysiłek włożony w organizację służby oświatowej w wojsku w Wielkiej Brytanii.

Od niego samego słyszałem tylko o trzech faktach z jego życia, którymi się chlubił.

Pierwszy to ten, że był autorem rozkazu, wydanego przez dowódcę jednostki, z którą przybył do Wielkiej Brytanii; rozkaz ten mówił o trwaniu polskiego wysiłku zbrojnego, o niezmniejszonej wierze w zwycięstwo i o obowiązku dalszej, niestrudzonej pracy dla ojczyzny.

Drugim tytułem jego dumy był fakt, że syn jego, nieledwie szesnastoletni, brał ochotniczo udział w kampanii wrześniowej.

Trzeci wreszcie, dotyczący jego pracy jako teatrologa, pozornie tylko, wydaje się nie być z tego samego rzędu. Chlubił się tym, że odkrył pierwszy dokumenty, świadczące o nieubłaganej walce, jaką toczył Bogusławski z zaborcą. Walki tak ostrej, że w końcu zakazano Bogusławskiemu wstępu do jego własnego teatru.

* * *

Nad otwartym grobem powiedział Dowódca Korpusu: "bardzo trudno będzie Go zastąpić." Bardzo trudno, ale jednak w wojsku ktoś będzie musiał zająć Jego miejsce. Gdy kogoś ubywa z szeregów żołnierskich, inny żołnierz musi go zastąpić.

Ale w sercach naszych nikt nie zastąpi Brummera.

Henryk Sulerzycki

* * *

Przed chwilą pochowaliśmy Wiktora Brummera. W kalendarzu na Jego biurku, pod datą dzisiejszą było zapisane moje nazwisko. Miałem przyjechać, by omówić jakąś pracę, planowaną na zimę. Przyjechałem, by oddać Mu ostatnią posługę.

Wiktor Brummer zgasł nagle. Zgasł na posterunku w Dowództwie I Korpusu Wojska Polskiego w Szkocji, zgasł w mundurze kapitańskim, więc nad Jego mogiłą mówił Dowódca Korpusu, mówił jego były, wieloletni przełożony i przyjaciel, mówił towarzysz broni z dawnego pułku legionowego. Mówili o Wiktorze Brummerze jako o żołnierzu, jako o pracowniku na polu oświaty w wojsku, jako o ojcu, który wycho-



wał swego 16 letniego syna na dobrego, jak sam, żołnierza. I tylko nawiasowo, na marginesie niejako, słów parę powiedziano o tym, co, jak sądzę, stanowiło pasję i treść istotnych zainteresowań Wiktora Brummera, co nadawało barwę Jego życiu.

Ulegając wewnętrznej potrzebie, w przekonaniu, że Wiktorowi Brummerowi przykro by było, gdyby tej istotnej strony Jego życia nie podkreślić — piszę tych parę słów, wierząc, że w "Polsce Walczącej," obok innych wspomnień o Nim jako o żołnierzu, znajdzie się miejsce i na to moje wspomnienie. Dla mnie Wiktor Brummer nigdy nie był kapitanem, nawet wtedy, gdy wchodząc do Jego biura w Dowództwie—meldowałem się Mu jako kapitanowi, co wyglądało niemal na przesadny dryl. Wiktor Brummer był dla mnie i zawsze pozostanie przede wszystkim teatrologiem i sprawozdawcą teatralnym.

Takim Go pamiętam z dawnych, dobrych czasów, kiedy pracowaliśmy w "Przeglądzie Wieczornym," popołudniowej przybudówce "Kuriera Porannego" i w samym "Kurierze," gdy był on jeszcze pismem niezależnym.

W wydawnictwie Fryzego Brummer istniał poniekąd w cieniu sławy Boya-Żeleńskiego. Boy był głośny, błyskotliwy, pożądany. . . . Brummer—Brummer kochał i znał teatr, sztukę teatralną. Nigdy nie był wulkanem energii ani rekordsmenem błyskotliwości. Ale do swych sprawozdań teatralnych i do prac o teatrze wnosił obok miłości teatru—gruntowną erudycję, znajomość przedmiotu, doskonałą rzeczowość i bezwzględną sprawiedliwość sądu, nieraz może aż za bardzo beznamiętnego, spokojnego. Miał to, czego brakowało wielu sprawozdawcom teatralnym. Czytelnik Jego sprawozdań mógł być pewien, że Wiktor Brummer przedstawia mu sprawę nie tylko z należytą znajomością rzeczy, ale i najgłębszym przeświadczeniem o słuszności swego sądu. Jego pióro nigdy nie było na usługach żadnej reklamy, intrygi czy zaślepienia. Mógł się mylić, ale w swej krytyce teatralnej był człowiekiem kryształowego sumienia.

Boya czytało się dla jego błyskotliwości, ale Boy miał swoje słabości i maniery. Nieraz tak było, że po przeczytaniu w "Kurierze Porannym" felietonu Boya o jakiejś sztuce, czytelnik dowiedziawszy się tysiąca rzeczy o wszystkim, ale nie o samym przedstawieniu—z tym większym zainteresowaniem, po południu w "Przeglądzie Wieczornym" szukał rzeczowego, ze znawstwem napisanego sprawozdania Wiktora Brummera, które rozstrzygało pytanie: "iść" czy "nie iść."

Nie raz po premierze Boy szedł zabawić się lub wyspać. I nazajutrz w "Kurierze Porannym" czytelnik znajdował tylko króciutką wzmiankę, że przedstawienie odbyło się, ale sprawozdanie—jutro. Brummer za bardzo kochał teatr i za poważnie traktował swe obowiązki sprawozdawcy, by zawiódł w dniu takiego święta, jakim była dla Niego premiera teatralna. Czytelnik mógł być pewien, że nazajutrz po premierze w "Przeglądzie Wieczornym" znajdzie jego fachową ocenę sztuki i widowiska. Były to czasy, kiedy wydawnictwo rozporządzało sztabem tęgich fachowców we wszystkich dziedzinach dziennikarstwa. Wiktor Brummer był jednym z filarów tego zespołu fachowców w redakcji wielkiego dziennika.

Kiedy przyszły ciężkie dla nas wszystkich czasy załamania się wydawnictwa Fryzego, w całej pełni uwydatniły się zalety charakteru Wiktora Brummera—dobrego człowieka i uczynnego kolegi. Takim też pozostał do ostatnich swych dni.

Jestem głęboko przekonany, że też do końca swych dni, pełniąc sumiennie to, co było jego obowiązkiem, obok tęsknoty do Rodziny i Kraju nosił w swym sercu ciche i ukryte marzenie o tej chwili, kiedy wolno Mu będzie powrócić do głównej pasji Jego życia, do spraw teatru, któremu, nawiasem mówiąc poświęcił ostatnią pracę Swego życia, w ostatnich dniach ukończywszy wykład o teatrze polskim dla uczelni brytyjskich.

Jeśli, jak stwierdził to nad grobem Dowódca Korpusu, trudno będzie zastąpić *Kapitana* Brummera na jego wojskowym urzędzie, to o ile trudniej będzie Go zastąpić w Wolnej Polsce jako *teatrologa, znawcę sztuki teatralnej i historii teatru.* Odbudowujący się teatr polski ciężko odczuje brak Jego w fotelu recenzenckim i przy biurku dziennikarza i pisarza.

Myślę, że trzeba to było powiedzieć. Bo inaczej—jak już podkreślałem—Wiktorowi Brummerowi było by przykro, że wspominając Go pominęliśmy coś, co tak wiele znaczyło w Jego życiu. Coś, co było dla Niego tak ważne.

Tak, jak napewno przykro Mu było, że wśród grudek szkockiej ziemi, rzucanej na Jego grób—nie było ziemi ciśniętej ręką polskiego aktora, ręką przedstawiciela teatru polskiego, który kochał i któremu służył przez całe życie, podobnie, jak służył Polsce.

Andrzej Doddies

* * *

"Polska Walcząca" dołącza do tych wspomnień słowa szczerego żalu. Straciła ona w ś.p. Brummerze oddanego przyjaciela i opiekuna, człowieka, który trudności tej pracy rozumiał jak nikt, bo sam ją wiele razy w najdziwniejszych warunkach podejmował, który, jak niewielu doceniał jej sens i znaczenie. Jeszcze ostatnio, na kursie pracy świetlicowej w St. Andrews, w wykładach, w dyskusjach mówił o naszym piśmie i gorąco mu orędował. Robił to przy każdej sposobności. Zachęcał, pomagał, nie utrącał. Był z rodu ludzi dobrej woli i czynnej, życzliwej pomocy.

Pochłonięty bez reszty pracą oświatową, z której złożoności w obecnych warunkach i wyników mało ludzi zdaje sobie sprawę, a wielu nie chce—pisał rzadko, rzadziej, niż by mógł i chciał. W poprzednim roczniku ogłosił piękny artykuł ideowy: "Za waszą i naszą wolność," w bieżącym roku, kilka notatek sygnowanych: W.B., W.Br., jeden artykuł podpisany pseudonimem Wiktor Bronarski p.t. "Dzień książki w Szkocji" /nr.32/.

Wyraziło się w tym artykule, w sposób dyskretny, powściągliwy, a czynny przywiązanie do wartości duchowych, które zajmowało w Nim najbliższe miejsce po przywiązaniu do kraju. Można powiedzieć, że te dwa uczucia stanowiły u ś.p. Brummera—żołnierza i pracownika kultury—dwie postacie jednej i tej samej miłości.

Pan Redaktor "Polski Walczącej."

Dyrekcja Polskiej Y.M.C.A. przesyła zamiast kwiatów na trumnę śp. kapitana Wiktora Brummera £3 na pomoc dla Polaków w Rosji, według uznania Pana Redaktora.

Z wyrazami prawdziwego szacunku
Majchrzak
za Dyrekcję Polskiej Y.M.C.A.



ŚWIT NA ZGORZELISKU

Idzie królowa po spalonym dworze
i na zarzewie wodą z dzbana chlusta.
Ma na ramionach najjaśniejsze zorze,
ma wonne włosy i pąsowe usta;
one-ć w kącikach są w dół obrócone—
tak płacze dziecko, przez ludzi skrzywdzone.

Na popielisku ze zdradnej iskierki
wystrzela płomień, martwizny niesyty;
ku stopom jasnej swej pogromicielki
podpełza ogniem jaszczur jadowity.
Królowa idzie w pląs zwiewnego tańca
i co krok chlusta kryształem ze dzbańca.

A za królową, w chrzęstawie półzbroic,
idą rycerze—iluż tych rycerzy! . . .
Jak się zaczęli o świtaniu roić,
tak dotąd strumień migotliwie bieży,
i każdy krok ich w rojowisku srogim
wdeptuje w ziemię gniewliwą pożogę.

Za rycerzami—płużny lud, oracze,
kłębiaste ciała o mięśniach mocarnych.
Walą się ciżbą w zmartwiałe pustacie
i przykrawują je na skiby czarne.
Szarpią sochami, tłuką toporzyskiem,
miotają ziarno głuchym wywieiskiem . . .

— — — — — — — — — — — —

. . . Kiedyż, ach—kiedyż pod stopą królowej
znów zgorzelisko runią się zzieleni!
jak-okiem-siężny szlak samodziałowy
jarzącym złotem sypnie o jesieni!
Kiedyż, ach—kiedy za królowej śladem
splotą się zboża w dożynkowy diadem! . . .

Antoni Bogusławski

PRZYJAŹŃ POLSKO-SZKOCKA

List od przyjaciela

Drogi Panie Redaktorze,

Powróciwszy do Edynburga po krótkiej wizycie w Londynie, gdzie byłem gościem polskiego Pen Klubu proszę teraz o łaskawą gościnę na łamach Pańskiego pisma, by wyrazić moją gorącą podziękę za serdeczność i koleżeństwo okazane mi w czasie tej nowej manifestacji wspólnoty polsko-szkockiej.

Od zeszłego lata Pen Klub szkocki, składający się z poetów, autorów dramatycznych, redaktorów, publicystów i powieściopisarzy, robił wszystko, co jest możliwe w warunkach wojennych dla zacieśnienia więzów kulturalnych, łączących nasze narody. Zaprosiliśmy panią Kuncewiczową, wiceprezeskę polskiego Pen Klubu do Edynburga i redaktora Franciszka Bauer-Czarnomskiego do Glasgowa. Przyjmowaliśmy prof. Jarrę w Glasgowie i córkę Generała Sikorskiego w Edynburgu; na rozlicznych zebraniach witaliśmy księdza Obertyńskiego, Edw. Ligockiego i wielu innych Polaków. Tytułem wzajemności Pen Klub polski zaprosił prezesa Pen Klubu szkockiego do Londynu i tam na jego cześć zorganizował śniadanie, któremu obecność Ich Eksc. Polskiego Ministra Spraw Zagranicznych i polskiego Ambasadora przy Rządzie Wielkiej Brytanii przydały wagi oficjalnej.

Maria Kuncewiczowa prezydowała z właściwym jej wdziękiem; dr. Langner, prezes czechosłowackiego Pen Klubu, Storm Jameson, prezeska Pen Klubu angielskiego i Herman Ould, sekretarz Federacji Pen Klubów podkreślili swoim udziałem charakter międzynarodowy zgromadzenia, które cechowała najżywsza serdeczność.

Sprawiło mi radość szczególną, że mogłem w Londynie zaświadczyć, jak wielki szacunek i wzięcie zyskała sobie w Szkocji armia polska wśród wszystkich warstw ludności zarówno w wielkich miastach, jak i małych wioskach. W przeciągu niespełna roku armia ta podbiła Szkocję—triumf, jak żartobliwie wytknąłem swoim angielskim kolegom, który wojskom Anglii w ciągu wieków nigdy nie przypadł w udziale. Obok powszechnego zadowolenia Szkotów z faktu goszczenia u siebie dzielnych towarzyszów broni, podzielających tak całkowicie naszą miłość swobód i nienawiść do wszelkiego ucisku, naród szkocki niemałą korzyść i rozkosz ciągnie z muzycznych, artystycznych i intelektualnych uzdolnień Polaków, kwaterujących obecnie w jego kraju.

Mniej więcej sto lat temu, Chopin—chory, smutny i bez grosza w kieszeni—spędził kilka miesięcy w Szkocji wśród oddanych przyjaciół. Nie zapomnieliśmy tych lat obecnego stulecia, kiedy Emil Młynarski był dyrektorem Szkockiej Orkiestry Symfonicznej. Nic zatem dziwnego, że i dzisiaj polskie chóry, polscy pianiści i skrzypkowie ściągają ze wszystkich sfer społeczeństwa entuzjastyczną publiczność. Nie zadawalniając się uczeniem nas swoich pieśni, wasi śpiewacy uczą się pieśni naszych i produkują je publicznie z najwłaściwszym odczuciem i zadziwiająco dobrym akcentem, co dla ludzi urodzonych poza Szkocją bynajmniej nie jest łatwe.

W podobny sposób malarze polscy zaznajamiają nas z polską tematyką, ukazując nam jednocześnie pejzaże i typy szkockie w świetle obcego spojrzenia. W chwili obecnej artyści polscy nie tylko posiadają osobną sekcję na dorocznej wystawie Szkockiej Akademii Królewskiej, ale również obesłali lwią—może raczej orlą?—część Wystawy Alianckiej w Galerii Narodowej w Edynburgu.

Dalej . . . żołnierze polscy uczą się angielskiego w tych samych klasach i od tych samych nauczycieli, co szkockie dzieci. Studenci polscy studiują medycynę na własnym fakultecie Uniwersytetu Edynburskiego. Towarzystwo Polskie—świeżo założone—a raczej odbudowane, gdyż Szkocja zawsze sympatyzowała ze sprawą niepodległości Polski—będzie miało wspaniałą okazję spopularyzowania polskiej literatury i historii.

Dom Szkocko-Polski, niedawno otwarty w Edynburgu dzięki staraniom British Council'u—stał się ogniskiem polskiego życia i kultury oraz miejscem spotkań polskich i szkockich przyjaciół. Literaci polscy tłomaczą naszych pisarzy na angielski, my zaś z niecierpliwością czekamy na tłumaczenia dzieł polskich. J. A. Teslar np. jest zajęty obecnie przekładem na polski Thomasa Campbell'a, poety szkockiego, który wiek temu walczył o sprawę polską. W roku 1831 Campbell ufundował Towarzystwo Polskie i jestem dumny, mogąc stwierdzić, że czasopismo, którego jestem redaktorem (Chambers's Journal) *w swoim piątym numerze z lutego 1832 roku drukowało artykuł o Polsce — "tym nieszczęśliwym kraju," a w roku 1863 ogłosiło entuzjastyczny szkic biograficzny o Kościuszce "Wallasie polskim." (Sir William Wallace był bohaterem i męczennikiem niepodległości Szkocji.)*

Tak oto, nowe melodie, nowe barwy, nowe myśli szerzą się po Szkocji i Szkoci na równi z Polakami korzystają z wymiany. Wszyscy, którzy Polaków poznali, czekają z niecierpliwością dnia, kiedy udadzą się do Polski, by z kolei poznać ojczyznę tych pełnowartościowych sprzymierzeńców. Lubię myśleć o czasach, w których przyszłe pokolenia młodych Szkotów słuchać będą w polskich miastach czy w wioskach tatrzańskich swoich własnych pieśni, przywiezionych tam i rozkrzewionych przez żołnierzy-tułaczy drugiej Wielkiej Wojny. Gdy ta szczęśliwa godzina wybije dla "naszych" Polaków (jak ich nazywamy w myślach), że będą mogli znów wrócić do Polski, my wówczas zaśpiewamy tęskną piosenkę rozstania:

Better lo'ed ye canna be—
Will ye no'come back again*

wspominając, że nasz Bonnie, książę Charlie, który był piosenki natchnieniem, urodził się z polskiej matki—Marii Klementyny Sobieskiej.

Łączę wyrazy szacunku dla Pana, Drogi Redaktorze.

J. Liddell Geddie
Prezes Szkockiego Pen Klubu

* Lepiej kochani nigdy nie będziecie, jeżeli do nas znowu nie wrócicie.

Pozdrowienie Polski

Polska walczy! To dla niej nic nowego, gdyż w ciągu dziejów Polska raz po raz walczy. Dzicz od Wschodu, z Zachodu barbarzyńca, najprzód na zmianę, później razem usiłowali nieraz podbić ten bohaterski Kraj. Więc poprzez dzieje synowie Polski i jej córy przelewają swą krew tak często za swój Ojczysty Kraj, iż zda się niemal—sama ziemia nasiąkła krwią serdeczną swoich dzieci. Może dlatego właśnie ta ziemia tak droga jest Polakom.

Czasami tej niewiernej dziczy i tamtym barbarzyńcom zdarzało się, jak się udało dziś, zająć tę ziemię i usadowić na niej—niczem jej panowie. Lecz dusza Polski jest niezłomna i walczy wciąż.

Jakkolwiek długie będzie to męczeństwo Polski, jakkolwiek gorzkie będzie Jej cierpienie, przez miłość dla Ojczyzny, dla której każde pokolenie niosło ofiarę swojej krwi, synowie Jej nie zaniechają walki aż nienawistni ci najeźdźcy nie zaprzestaną hańbić swoją obecnością świętej ziemi polskiej.

Tam w Polsce walczy dzisiaj ludność. Walczy ona, po bohatersku cierpiąc, stawiając dumnie czoło, bez kompromisu walczy—twardo i nieustępliwie. I poza Krajem walczą też Polacy. Walczy tu tułaczy dobrowolnych garstka, co heroicznie się przedarła do Ojczyzny naszej i co chorągiew polską dzierży tak dumnie i wysoko.

Przybyli tu Polacy bez broni niemal, ale z decyzją w sercu walczyć i gołą pięścią, gdy będzie tego trzeba, zdecydowani nie poddać się w żadnym razie. Dziś należycie uzbrojeni, są groźni. Gdyby tu przybył Niemiec, będzie zaskoczony przyjęciem, jakie mu zgotują Polacy na jednym bodaj odcinku naszego wybrzeża. Czatują nań. Z najwyższą niecierpliwością nań czekają, lecz z jeszcze większą czekają na ten dzień, gdy wreszcie będą mogli z powrotem przebić się do Polski i znów wyzwolić swą Ojczyznę od ucisku i niewoli.

I walczyć trzeba nie o samą polską ziemię, trzeba też walczyć o kulturę polską. Na przestrzeni dziejów, w przerwach między wojnami, nawet w czasie ich trwania rozwinęła Polska swoją sztukę, swą muzykę, literaturę swą i swą kulturę. To przecież symboliczne, że kraj, który przez tyle wieków stał jak bastion na straży kultury Zachodu przeciw barbarzyństwu, że ten kraj reprezentował wszystko, co w tej kulturze było najlepszego. Zachowała Polska wiele ze swej przeszłości, wiele z tego co było w niej dobre, a przejmując zdobycze współczesnego nam postępu, nie pozwoliła tym zdobyczom zestandaryzować siebie, jak pozwoliły inne kraje, ani też nie utraciła nic ze swego wdzięku oraz tradycyjnego charakteru.

Wiele z tej kultury polskiej przynieśli do nas przedstawiciele tej Walczącej Polski, którzy nam dowiedli, że można przecież być czarującym kulturalnym człowiekiem i zarazem doskonałym żołnierzem. Dzięki żołnierzom polskim rozkoszowaliśmy się polską muzyką, oczarowani byliśmy ich pieśnią i tańcami, byliśmy przejęci polską sztuką, nie mniej niż dzielną ich postawą.

Zdaje mi się to tak typowo polskie, że do dziś dnia zmotoryzowana polska kawaleria wciąż zachowuje swoje marsze i mazurki. A gdy jej czołgi z chrobotem defilują przy dźwiękach muzyki pisanej dla ułanów, niemal każdy w tych rytmicznych dźwiękach styszy kłus koni i łopot proporczyków. Wiemy jak szarża polskiej kawalerii bohaterstwa była pełna i rozmachu i wiemy także, że nowoczesna polska kawaleria, chociaż nie tak, jak tamta malownicza, ożywiona jest tym samym duchem i wymiecie precz najeźdźcę, tak jak tamta.

Nie tylko na lądzie—w powietrzu i na morzu walczy dziś również Polska. O jej lotnikach możemy powiedzieć wszakże, że są wśród tych najlepszych i junackich z pośród "niewielu" dzielnych nad dzielnymi, którym tak wiele zawdzięczamy. A te epickie dzieje "Orła" na początku wojny. Przecież te dzieje wstrząsnęły wprost brytyjską marynarką, mającą poza sobą długi szereg wspaniałych czynów. To też brytyjski nasz marynarz—głęboki, prawdziwy ma szacunek dla polskiego swego brata.

Tak, Polska walczy i to walczy dobrze! Myślimy też z wdzięcznością o tym naszym Sprzymierzeńcu, którego nieugięty duch oraz szlachetne bohaterstwo wytrwały przy nas, o synach Polski, którzy dzielą z nami niebezpieczeństwa i ponure dni tej wojny. I jak dzielimy się tą walką, tak podzielimy i Zwycięstwo—jak przyjaciele, jak towarzysze broni i jak bracia.

F. C. Anstruther,
wice-sekretarka Towarzystwa Polsko-Szkockiego.



"Ogniwo Przyjaźni"

Otrzymałem niedawno list od moich szkockich znajomych. Miły list. Pisali mi o wszystkim, jak to zawsze w takim wypadku: o pogodzie, o kominku, o wojnie trochę—niezbyt dużo, a na końcu . . . przecieram oczy i nie chce mi się wierzyć! Jakto? . . . Zakończenie listu po polsku. Skąd? Jakim sposobem? Polszczyzna niezbyt poprawna, więc to nie Polak pomagał w ułożeniu tych kilku słów po polsku.

Wytłumaczenie znalazłem już niedługo potem, gdym zawitał do owych właśnie moich szkockich przyjaciół na kilkudniową przepustkę. Na niskim stoliku w salonie, opodal kominka—zauważyłem kilkanaście numerów pisma "Ogniwo Przyjaźni." Przecież w tym tygodniku regularnie pojawiają się lekcje języka polskiego dla Brytyjczyków!

* * *

"Nie wiedziałem, że u was w Polsce wiosna jest tak samo piękna, jak nasza, szkocka. Ba, nawet może jeszcze piękniejsza!"—rzekł mi kiedyś w rozmowie ktoś ze szkockich znajomych—"Zawsze sobie wyobrażałem, że Polska to synonim wiecznych śniegów dalekiej północy. W ogóle, dopiero teraz, kiedy regularnie czytuję to tak ciekawie pisane "Clasp o' friendship," dowiaduję się co raz to nowych, dotąd zupełnie mi nieznanych rzeczy o was, Polakach i o waszej ojczyźnie. Po wojnie muszę was odwiedzić w Polsce!"

* * *

Przytoczone dwa przykłady z moich własnych doświadczeń współżycia nas, Polaków ze szkockim społeczeństwem wystarczą pewnie, by zobrazować, jak pożyteczną rolę w zacieśnieniu więzów prawdziwej przyjaźni i kulturalnej wymiany myśli pomiędzy społeczeństwem szkockim a Polakami odgrywa tygodnik "Ogniwo Przyjaźni," wydawany w Glasgowie w dwóch językach polskim i angielskim.



Skromne to objętością i formatem pisemko—niemniej jednak w łańcuchu wzajemnych polsko-szkockich sympatii tworzy nie tylko jedno z "ogniw przyjaźni," jak to mówi tytuł, lecz opowiadając Szkotom o Polsce, ucząc polskiej mowy, a mówiąc Polakom o Szkocji i Szkotach—uczy wzajemnie historii naszych narodów, wskazuje piękno i wartości naszego dorobku kulturalnego, pozwala w przystępnych, bezpretensjonalnych artykułach i felietonach nie tylko poznać się wzajemnie, lecz i pokochać.

Nie jest to bynajmniej jakaś oficjalna propaganda polskości wśród Szkotów, rozporządzająca dużymi zasobami pieniężnymi i wspomagana rozbudowaną aparaturą. Skromny warsztat pracy jednopokojowej redakcji-mieszkania prywatnego wydawców pisemka, wśród trudności finansowych i technicznych wylawirował "Ogniwo Przyjaźni" z małych, mikroskopijnych nakładów ku co raz większym osiągnięciom. Trzeba było dać się poznać, rozpowszechnić pismo wśród Szkotów i Polaków, trzeba było przezwyciężyć braki finansowe wydawnictwa. Upór pracy ludzi prawdziwie dobrej woli pokonuje jednak trudności nie byle jakie. Tak też i tu wydawczyni-redaktorka potrafiła przezwyciężyć wszelkie przeszkody przekazując obu społeczeństwom i szkockiemu i polskiemu cenny dar serca i pracy.

Bolesław K. Piekarski

Japonia wczorajsza i dzisiejsza (V)

Marynarka japońska

Zdawało by się iż Japończycy, naród wyspiarski, muszą posiadać i tradycje morskie, sięgające niepamiętnych czasów i marynarkę datującą się od zarania średniowiecza. Tymczasem prawda historyczna przedstawia się inaczej. Dopiero w roku 1848 jeden z ostatnich Szogunów zezwolił na budowanie okrętów wedle wzorów europejskich. Pierwsze statki były nieruchawymi niezgrabnymi dziwolągami, które niebardzo chciały pływać. Los przyszedł z pomocą. Burza wyrzuciła na brzeg japoński opuszczony przez załogę statek rosyjski, domorośli inżynierowie zbadali go, zebrali i złożyli z powrotem z niezwykłą sumiennością i dokładnością. Odtąd okręty japońskiej konstrukcji pływały nawet po burzliwym morzu.

Za praojców dzisiejszych eskadr cesarstwa można uważać mały parowiec kołowy ofiarowany cesarzowi przez króla Holandii, tradycyjnego klienta w jedwabiach, ryżu i porcelanie i kanonierkę, podarunek królowej Wiktorii. W tym samym czasie założono pierwsze stocznie wojenne a rodząca się marynarka japońska otrzymała jako sztandar czerwone Wschodzące Słońce, kształtu wiśni na śnieżno białym tle, koloru kwiatu wiśniowego, narodowej dumy japońskiej.

W roku 1861-ym instruktorzy brytyjscy zastąpili w sprawach morskich pracujących od kilku już lat Holendrów. Powstały liczne szkoły i kursy nawigacji i innych morskich umiejętności. Nic też dziwnego, iż zarówno sylwetki co raz liczniejszych okrętów, jak i pogramy szkolenia załóg były dokładnymi kopiami angielskich pierwowzorów. Kilka najsilniejszych opancerzonych kanonierek, świeżo narodzona admiralicja japońska zakupiła w Stanach Zjednoczonych.

Podczas pierwszej wojny z Chinami w roku 1894-ym Japonia posiadała silną i nowoczesną marynarkę wojenną i to przede wszystkim zadecydowało o jej miażdżącym zwycięstwie. Dysponowała ona bowiem 28 opancerzonymi okrętami i 29 torpedowcami. Do zdobyczy wojennych mogła zaliczyć nie tylko nieliczne nowoczesne okręty wojenne chińskie, wśród nich dwa potężne pancerniki i nieliczne terytoria, ale i zalążek przyszłego triumfu. Rosja, niezwyciężony wówczas jeszcze "kolos północy," odebrała bowiem Japończykom najcenniejszą zdobycz — Port Artur na Morzu Chińskim. Młode mocarstwo musiało odstąpić gorąco upragniony port i poprzysięgło zemstę konkurencyjnej, pozornie znacznie silniejszej Rosji. W 10 lat po upokorzeniu nadszedł dzień zemsty.

W wojnie rosyjsko-japońskiej marynarka japońska nie tylko zdobyła doświadczenie i sławę. Dzięki jej zwycięstwom Japonia stała się mocarstwem światowym.

Od pierwszej chwili działań morskich inicjatywa była przy Japończykach. W chwili wybuchu wojny z Rosją w 1904-ym roku marynarka japońska posiadała 6 pancerników, 8 krążowników pancernych, 44 krążowników starszych i lekkich i 100 torpedowców i kontrtorpedowców.

Szczęście i błyskwiczna decyzja japońskich admirałów od pierwszej chwili przechyliło powodzenie na stronę japońską. Zanim jeszcze na Dalekim Wschodzie dowiedziano się o wybuchu wojny, eskadra japońska zaatakowała dywizjon rosyjski w porcie koreańskim Czemulpo i zatopiła krążownik "Wariag" i kanonierkę "Korejec," biorąc do niewoli kilka okrętów pomocniczych. W 48 godzin później torpedowce japońskie wdarły się do Port Artura i zatopiły 4 wielkie jednostki rosyjskie, i uszkodziły 3 największe pancerniki "Petropawłowsk," "Retwizan," i "Carewicz."

Atak ten unieruchomił marynarkę rosyjską w najbardziej krytycznym momencie. Japończycy bowiem przerzucali właśnie wówczas morzem wojska do Mandżurii, na główny teren operacji lądowych.

W kwietniu 1904 rosyjska eskadra portarturska zdołała załatać awarie i wyszła w morze. Do bitwy z japońskimi siłami blokującymi nie doszło, a mimo to Rosjanie ponieśli niepowetowaną stratę. Admiralski pancernik "Petropawłowsk" zderzył się z pływającą miną i poszedł na dno z przeważną częścią załogi i dowódcą rosyjskich sił morskich na Dalekim Wschodzie, admirałem Makarowym. Eskadra powróciła do portu. Operacje lądowe rozwijały się stale niepomyślnie dla Rosjan i w lipcu Japończycy rozpoczęli oblężenie Portu Artura z lądu. Naczelne dowództwo japońskie, które właśnie objął generał Nogi zadało wojskom rosyjskim kilka dalszych klęsk pod Nanszan, i Limun-szun. 9 września Rosjanie mieli na tym tylko odcinku 95.000 zabitych i rannych.

Stało się jasne, iż Portu Artura trzymać się w żadnym wypadku nie da. 10 sierpnia eskadra portarturska wyszła w morze a jednocześnie eskadra władywostocka, składająca się z kilku krążowników, dywizjonu torpedowców i kilku kanonierek ruszyła od północy, pragnąc wziąć Japończyków w dwa ognie. I tym razem, jak zresztą podczas całej wojny, wyjątkowe zupełnie szczęście sprzyjało admirałowi Togo, naczelnemu dowódcy sił morskich. Pierwsza salwa pancerników japońskich zabiła dowódcę rosyjskiego, admirała Withefta i uszkodziła dwie najsilniejsze jednostki rosyjskie. Odsiecz władywostocka nie zdążyła na czas i została pokonana przez przeważające siły japońskie osobno. Ponadto, co w skutkach okazało się najważniejszą rzeczą, Japończycy zdołali ukryć fakt, iż jeden ich pancernik, najsilniejszy, został zatopiony a kilka innych uszkodzonych, wobec czego eskadra portarturska, nawet po poniesionych klęskach, mogła była z powodzeniem jeszcze raz probować szczęścia.

Rząd rosyjski zdecydował w tej ciężkiej sytuacji na Dalekim Wschodzie wysłać na pomoc eskadrę bałtycką. Zanim jednak wyruszyła w podróż, 23 listopada 1904-go roku piechota japońska zdobyła szturmem wzgórza dominujące nad Port Arturem. Miasto i port były odtąd pod stałym obstrzałem ciężkiej artylerii nieprzyjacielskiej. 2 stycznia 1905 Rosjanie poddali się. W ręce Japończyków dostało się 40,000 jeńców, 500 dział i prawie wszystkie okręty stacjonowane w porcie. Zaledwie kilka torpedowców pod dowództwem Polaka, późniejszego admirała marynarki polskiej, Michała Borowskiego nie uznało kapitulacji i przedarło się do niemieckiego portu w Kiao-Czao, gdzie internowano je, do końca wojny.

10 marca 1905 roku wojska rosyjskie poniosły decydującą klęskę pod Mukdenem. Mimo to admiralicja rosyjska nie odwołała eskadry bałtyckiej, płynącej od października 1904-go roku na Daleki Wschód. Sytuacja jej od samego początku była beznadziejna. Obciążały ją liczne powolne pancerniki starszej konstrukcji, kilkanaście transportowców i dywizjon torpedowców, które wówczas nie były jeszcze używane do dalekich rejsów. Dowódca eskadry, czy raczej floty, wedle urzędowej terminologii — bałtyckiej, Rożdżestwienskij nie miał po drodze baz, okręty obrastały wodorostami podczas długiej podróży a na dobitkę marynarka brytyjska była zdecydowanie niechętnie nastrojona wobec Rosjan. Jeszcze na początku podróży, krążowniki rosyjskie zatopiły na Morzu Północnym koło Dogger Bank angielskie statki rybackie, co o mały włos nie doprowadziło do bardzo poważnego dla Rosji, osłabionej katastrofalną wojną, konfliktu.

Po krótkim postoju na Madagaskarze, w pierwszych miesiącach 1905-go roku, eskadra rosyjska ruszyła na morza chińskie. Przed Rożdżestwienskim stały dwie ewentualności: Albo opływać dookoła Archipelagu Japońskiego, co było znacznie bardziej niebezpieczną drogą z nawigacyjnego punktu widzenia, albo też ryzykować i płynąć przez Morze Żółte, dążąc do Władywostoku gdzie Rosja posiadała jeszcze pewną ilość okrętów wojennych, doki i warsztaty reperacyjne. Togo miał przed sobą taki sam dylemat—gdzie czekać Rosjan, po prawej czy lewej stronie Japonii? Decyzja jego zbiegła się z decyzją wroga. Nad ranem 27-go maja 1905-go roku, lekkie jednostki japońskie dostrzegły dymy okrętów rosyjskich, ze zmęczonymi podróżą załogami i z artylerią o mniejszej nośności. Togo, wychowanek angielskiej akademii morskiej postąpił tak, jak jego ideał Nelson: natychmiast uderzył na nieprzyjaciela mimo iż rozporządzał taką samą liczbą nieco słabszych okrętów.

Bitwa była krótka i mordercza. Rosyjskie pancerniki z okrętem admiralskim "Kniaź Suworow" na czele poszły na dno. Starsze jednostki płynące z tyłu z 4 pancernikami obrony wybrzeża pod admirałem Niebogatowym poddały się wobec całkowitej bezbronności w obliczu dział japońskich. Kilka lekkich jednostek tylko, krążownik "Żemczug" i parę torpedowców przedarło się do Władywostoku. Togo odniósł jedno z największych zwycięstw morskich a marynarka japońska okryła się nieśmiertelną chwałą.

* * *

W Japonii powitano wiadomość o zwycięstwie wybuchem radości. Za jednym zamachem marynarka stała się dla Japończyka tym, czym od setek lat jest dla Anglika—przedmiotem dumy narodowej. Miało to wiele różnorodnych skutków złych i dobrych, w każdym razie admirałowie japońscy nie spoczęli na laurach. Wydatki na marynarkę rosły i rosła ilość okrętów.

W wojnie 1914-1918 marynarka japońska brała niewielki udział. Krążowniki japońskie konwojowały wojska australijskie na Bliski Wschód i do Europy, łapały bezskutecznie "Emdena", bez strat prawie i z małym kłopotem brały udział w zdobywaniu niemieckiej stacji w Chinach Kiao-Czao.

* * *

Kongres wersalski przyznał Japonii wzamian za nieznaczną pomoc, czy raczej za powstrzymanie się od awantur w krytycznym okresie wojny, cenną zapłatę w postaci części niemieckich kolonii na Pacyfiku i w Chinach. Ze względu na to, iż armia lądowa w działaniach wojennych prawie nie brała udziału, marynarka wojenna wzrosła po wojnie w autorytet i jeszcze lepsze mniemanie o sobie.

W roku 1921 główne mocarstwa morskie przystały na ograniczenie zbrojeń morskich. Stany, Wielka Brytania, Japonia, Francja i Włochy zgodziły się nie budować pancerników o wyporności większej, aniżeli 35.000 ton i w ściśle ustalonej niewielkiej liczbie. Największą wyporność krążowników ustalono na 10.000 ton i t.d. Stosunek wzajemny sił wyżej wymienionych kontrahentów określono formułą 5:5:3:1,75:1,75.

Japonia odczuła to jako ciężką zniewagę. Kilkunastu poruczników i podporuczników rozpruło sobie brzuchy na znak protestu a życie admirałów, którzy położyli swój podpis na protokóle konwencji było stale w niebezpieczeństwie. Tak długo zresztą, póki ostatniego z nich zamachowcy ultranacjonalistyczni przed paru laty nie zamordowali.

W roku 1936 wygasła ważność Konferencji Londyńskiej kiedy to "definitywnie" wślad za waszyngtońską przyrzeczono nie zbroić się nadmiernie na morzu. Japonia weszła była już wówczas na drogę podbojów kontynentalnych. Całe gospodarstwo narodowe zostało przestawione na potrzeby wojenne cesarstwa. Admirałowie zdołali zapewnić sobie poważną część rozdętego do astronomicznych cyfr budżetu. Zanim jeszcze nastąpiło otwarte przyznanie się do daleko idących zbrojeń, admiralicja japońska budowała w największej tajemnicy, w najbardziej niedostępnych częściach wysp archipelagu, nowe jednostki, nieprzewidziane i niedozwolone przez konferencje rozbrojeniowe.

Wedle ogólnie dostępnych danych w chwili agresji niemieckiej 1.IX.1939 na stoczniach japońskich budowały się, względnie były na ukończeniu 4 wielkie pancerniki po 35 czy nawet 45.000 ton każdy, uzbrojone w działa 16-o calowe. Ze względu na niezwykłą tajemniczość japońskich kół morskich znane są nazwy tylko dwóch z nich "Haszino" i "Kasino."

Japonia posiada poza tym 10 pancerników starszej konstrukcji: 1913-1917-1921. Zostały one jednak całkowicie zrekonstruowane w ciągu ostatnich paru lat i unowocześnione tak, że można je uważać za nowe jednostki. Dwa z nich "Mutu" i "Nagato" uzbrojone są w 8 dział 16 calowych każdy. Pozostałe 8 uzbrojone są w 12 względnie 8 dział 14 calowych, są więc słabsze od swoich odpowiedników amerykańskich i angielskich, ubrojonych w działa 15-o calowe.

Ostatnio prasa angielska podała, iż ponadto Japończycy posiadają 2 lub 3 "superkrążowniki" o wyporności od 12 do 15.000 ton, uzbrojone w 6 dział 12-o calowych.

Lotniskowców posiadają Japończycy 7 i 5 transportowców lotniczych. Okręty tego typu w marynarce japońskiej nie są wielkie. Dwa tylko "Kaga" i "Akagi" posiadają wyporność około 27,000 ton każdy i zabierają po 60 samolotów na pokład. Jeden lotniskowiec o wyporności 10,000 ton, "Syokaku" znajduje się w budowie.

Krążowników posiada Japonia ciężkich /uzbrojonych w działa 8 calowe/12 i lekkich/uzbrojenie: działa 6-o i 5.5 calowe/33.

Poza tym do składu marynarki wojennej należy 100 kontrtorpedowców, 60 okrętów podwodnych, w czym 42 duże, oceaniczne okręty od 1400 to 2000 ton każdy. Największe z nich posiadają 2 działa 5.5 calowe i 6 wyrzutni torpedowych. Szybkość wynosi 9 mil w zanurzeniu i 19 na powierzchni.

Nadto Japonia posiada 5 starych pancerników obrony wybrzeża, przebudowanych i unowocześnionych. Mają one względnie wielką szybkość, około 20 mil, i silne uzbrojenie: działa 8-o calowe i nawet jedno 10-o calowe.

Torpedowce japońskie /12/ o wyporności około 600 ton każdy i ścigacze /8/ są specjalnie przystosowane do walki z łodziami podwodnymi. Wreszcie Japonia posiada 35 okrętów pomocniczych, jak trawlery, stawiacze min, kanonierki rzeczne i t.p.

* * *

Konstrukcyjnie okręty japońskie nasuwają wiele zastrzeżeń. Są one przede wszystkim przeładowane artylerią. Tak np. ciężki krążownik typu "Mogami" o wyporności 8,500 ton posiada 15 dział 6.1 calowych, 8 dział 5-o calowych przeciwlotniczych i 12 nadwodnych wyrzutni torpedowych. Ponadto posiada on na pokładzie 4 samoloty.

Odpowiednik jego w marynarce brytyjskiej, typ "York" o wyporności 8,300 ton, starszy o parę lat posiada 6 dział 8-calowych, 4 działa 4-o calowe przeciwlotnicze, 6 wyrzutni torpedowych i zaledwie jeden samolot.

Podobne różnice dadzą się stwierdzić w każdym nieomal typie. Mimo iż zdawać by się mogło, iż wobec tego krążowniki japońskie są silniejsze, rzeczywistość przedstawia się inaczej. Na skutek przeciążenia nadwodnej części okrętu, okręty japońskie kiepsko znoszą złą pogodę, są mniej zwrotne i trudniejsze dla dowodzenia. Przy sztormach wreszcie często przewracają się do góry dnem.

Japończycy źle znoszą kołysanie morza i wibrację okrętów. Dla zapobieżenia temu jednostki ciężkie posiadają olbrzymie wielopiętrowe nadbudówki dookoła przedniego masztu. Daje to im charakterystyczną sylwetkę i przezwisko "pływających pagód."

Pomieszczenia dla załóg są mniejsze i gorsze, aniżeli w marynarkach innych narodów. Braki te jednak pokrywają się wielką dyscypliną i ofiarnością załóg. Na parę miesięcy przed obecną wojną, prasa na całym świecie podała bardzo charakterystyczny przykład w tym względzie. Jeden z torpedowców japońskich podczas manewrów przewrócił się i zatonął. Kiedy następnie podniesiono go i przyholowano do doku okazało się, iż załoga uwięziona w swoich pomieszczeniach żyła jeszcze przez parę godzin po wypadku. Jeden z marynarzy ostatnim wysiłkiem zdołał nakreślić kredą na stalowym boku okrętu: "Jestem dumny i szczęśliwy umierając za cesarza. Dlaczego tylko źli konstruktorzy dopuścili do utraty dobra cesarskiego?" . . .

* * *

Przemysł okrętowy japoński i wszystkie przemysły pomocnicze jak zbrojeniowy, amunicyjny, instalacji elektrycznych i t.d. całkowicie wystarczają dla zaspokojenia nawet bardzo ambitnych i daleko idących programów zbrojeniowych. Japonii brakuje jednak pewnych surowców, szczególnie wysokowartościowej stali i chromu.

Baz posiada Japonia pod dostatkiem. Yokosuka, Kure, Sasebo, Maidzuru, Bako Chinkai i Ominato są dobrze zagospodarowane i bronione i posiadają doki zdolne do przyjęcia największych jednostek.

Na Oceanie Spokojnym Japonia posiada stosunkowo nielicznych sąsiadów: Stany Zjednoczone, ich posiadłość na Pacyfiku—Filipiny, Wielką Brytanię w posiadłościach chińskich i malajskich, Holandię, jako suwerena archipelagu Sundajskiego, wreszcie na północnym krańcu państwo sowieckie. Chiny są odepchnięte od morza a francuskie posiadłości w Indochinach są okupowane przez Japonię.

Stany trzymają przeważną część swojej marynarki wojennej na Pacyfiku w czym najsilniejsze pancerniki "Colorado," "West Virginia" i "Maryland", uzbrojone w 16-o calowe działa, oraz przeważną część krążowników i lotniskowców. Piętą Achillesa amerykańskiej marynarki są bazy. Wyspy Hawajskie leżą o taką samą odległość od Manilli na Filipinach, jak od San Diego w Kalifornii, głównej bazy na wybrzeżu Stanów. Filipiny z kolei bliższe są Japonii, aniżeli Hawajów. Podczas ostatnich paru lat departament marynarki Stanów uzbrajał i przygotowywał szereg baz pośrednich na wyspach Wake, Guam i na Aleutach. Czy i w jakim stopniu są one gotowe oczywiście niewiadomo.

Drugim z kolei co do sił morskich potencjalnym wrogiem Japonii jest Imperium Brytyjskie w dwóch członach przede wszystkim — Wielkiej Brytanii broniącej Singapore, "Gibraltaru Pacyfiku" i Rzeczypospolitej Australijskiej.

Wielka Brytania posiada na Dalekim Wschodzie z całą pewnością kilkanaście krążowników i parę dywizjonów kontrtorpedowców i łodzi podwodnych pomiędzy Malajami a Hong-Kongiem. W Singapore przed wojną bazował stary monitor "Erebus", uzbrojony w 2 działa 15-o calowe. Być może, iż wobec tego, że przeważna część liniowych sił osi została unieruchomiona przez Marynarkę Królewską, Wielka Brytania przerzuciła 2 lub 3 pancerniki dla obrony swoich posiadłości na Morzach Południowych.

Marynarka australijska posiadająca bazy w Port Darwin na północnym cyplu lądu Australii i Sydney składała się w chwili wybuchu wojny z 6 krążowników, 5 kontrtorpedowców, 4 kanonierek i 2 okrętów pomocniczych. Posiada ona wielkie tradycje bojowe, jak zatopienie "Emdena" w 1914 roku i "Colleoni" podczas obecnej wojny.

Holandia rozporządza kilku doskonałymi bazami: Soerabaia, Batawia, Subang i Macassar w swoich posiadłościach i ma dość liczne, chociaż lekkie siły morskie. Są to: 1 pancernik obrony wybrzeża "Soerabaia," 5 lekkich krążowników ubzrojonych w działa 5.9 calowe /dwa dalsze w budowie/ 11 kontrtorpedowców, 11 łodzi podwodnych i 6 kanonierek oraz pewną ilość ścigaczy, kutrów i trawlerów.

Sowiety wreszcie posiadają we Władywostoku bliżej nieokreśloną ilość małych łodzi podwodnych i ścigaczy.

* * *

Z powyższego, bardzo pobieżnego zresztą zestawienia wynika, iż o ile lotnictwo japońskie jest zupełnie drugorzędne w porównaniu z siłami powietrznymi państw europejskich, a armii brakuje nowoczesnego sprzętu, to marynarka japońska jest niezmiernie potężną bronią.

Z pewnym zastrzeżeniem jednak. Japonia nie posiada własnych materiałów pędnych. Tak długo jak w ręce jej nie dostaną się pola naftowe na Sumatrze, Jawie i Celebes nie należy przypuszczać, by pancerniki Wschodzącego Słońca mogły decydująco wpłynąć na przebieg wojny.

Marian Synkowski

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

WYSIŁKI I NASTROJE POLONII AMERYKAŃSKIEJ

na początku października w następujący sposób charakteryzuje "Dziennik Związkowy":

"Ostatnie wypadki w Europie, a szczególnie stawianie silnego oporu nawale niemieckiej przez wojska rosyjskie, następnie zawarcie układu polsko-rosyjskiego, wypuszczenie na wolność jeńców polskich, wlało dużo otuchy w serca Polonii amerykańskiej i zmieniło w znacznej mierze nastroje, dotychczas panujące. Zaczyna powoli zanikać tłocząca dusze i serca ciężka, duszna apatia. Poczyna rodzić się czyn, a w poszczególnych osiedlach polsko-amerykańskich daje się odczuć na nowo ożywienie.

W Radzie Polonii Amerykańskiej, centralizującej w sobie całą akcję ratunkową, poczyna się odczuwać wzmożoną ofiarność na cele dobroczynne. We wrześniu ilość składek podniosła się poważnie i doszła do pokaźnej sumy dol. 40.000. Zjednoczenie PRK na Sejmie w Baltimore złożyło sumę dziesięć tysięcy dolarów /dol. 10.000/ na Fundusz Ratunkowy. Związkowcy zaś na północnej stronie miasta Chicago dla wzmożenia akcji ratowniczej i narodowej, dla zogniskowania jej w jednym miejscu i pod jednym dachem stworzyli Okręg Rady Polonii.

Przemawiając na tym inauguracyjnym zebraniu związkowego Okręgu Rady Polonii Prezes tejże Rady, Cenzor Z.N.P.F.X. Świetlik wyraźnie podkreślił, że w okresie obecnym należy dlatego wzmocnić ofiarność, gdyż przed Polonią rozwijają się cztery problemy a mianowicie:

1/ Niesienie pomocy Polakom w Rosji;

2/ Niesienie pomocy rodakom w poł. Francji nieokupowanej;

3/ Przygotowanie wielkich zapasów na niesienie pomocy rodakom na ziemiach Polski, gdy tylko natrafi się pierwsza sposobność;

4/ Wysyłanie tysięcy paczek żywnościowych i odzieżowych do jeńców polskich w obozach niemieckich."

Obserwując te sprawy z tej strony Oceanu, możemy tylko wyrazić życzenie, by ta pomoc była jak najszybsza i najobfitsza. Jej celowość wymagałaby w tej chwili skupienia wokół sprawy pomocy dla Polaków w Rosji i jeńców polskich w obozach niemieckich.

POMOC DLA ŻOŁNIERZY INTERNOWANYCH W SZWAJCARII

Stefan Mierzwa, dyrektor Fundacji Kościuszkowskiej notuje na łamach "Nowego Świata," że na potrzeby materialne i umysłowe obozów uniwersyteckich w Szwajcarii Polonia wyłożyła w roku ubiegłym kwotę 22.000 dolarów. Na następny rok szkolny będzie potrzebna kwota 30.000 dolarów.

POLONIA W AMERYCE PÓŁNOCNEJ I POŁUDNIOWEJ

Mimo rosnącej ofiarności materialnej Polonii w Stanach Zjedn. jej opinia co raz wyraźniej zdaje sobie sprawę z tego, że w stosunku do ogromu potrzeb i zadań, jakie wysuwa chwila obecna jest to zaledwie mała, niewspółmiernie nikła część tego, na co by Polonię w Stanach było stać i czego po niej oczekują wszyscy Polacy rozproszeni w świecie. Pierwszym przebłyskiem uświadomienia sobie tego faktu jest kilka artykułów, jakie pojawiły się w prasie, które zestawiają porównawczo dotychczasowy wkład w wysiłek wojenny Polonii w Stanach Zjedn. i w Ameryce Południowej.

Zarówno korespondenci prasy polskiej w Stanach Zjedn., pochodzący z Ameryki Południowej, jak i sama prasa Stanów Zjedn. nie tai faktu, że jak dotąd, zamożna, liczebnie potężniejsza Polonia Stanów jest wyprzedzana przez mniejsze, biedniejsze, lecz ofiarniejsze wychodźstwo w Ameryce Południowej. Oto co pisze o tym korespondent "Dziennika Związkowego" W. Wójcik w artykule p.t. "Wychodźstwo w Ameryce Południowej i armia polska":

"*We wszystkich republikach Południowej Ameryki, za wyjątkiem Brazylii, odbywa się pobór ochotników do* Armii w Kanadzie. *Niedawno wyjechała z* Argentyny *pierwsza partia, łącznie z ochotnikami z* Urugwaju. *Przygotowują się partie następne jeszcze w ciągu bieżącego lata /tutaj mamy zimę/. Prasa polska miejscowa i towarzystwa prowadzą wytężoną działalność w tym kierunku.*

Gdy się weźmie pod uwagę, że wychodźstwo tutejsze nie było pobudzane do czynu przez odwiedziny członków obecnego rządu z Londynu i że dzieli je od obozu w Kanadzie ogromna przestrzeń, to ów zapał, jaki tutejsza emigracja wykazuje, trzeba uważać za całkowicie spontaniczny. Polonia na południu ma swoje ambicje narodowe. *Nie mogąc się równać z potężną liczebnie i materialnie Polonią w Stanach Zjedn. nadrabia entuzjazmem i jest gotowa do daleko idących poświęceń dla sprawy narodowej.*

Wielu w Ameryce Południowej marzy o uzyskaniu przez nową Polskę kolonii zamorskich, po zwycięstwie, gdy nastąpi sprawiedliwy podział źródeł surowcowych, szczególnie w Afryce. Polski żywioł osadniczy w krajach gorącej Ameryki w ciągu pół wieku zdał egzamin pionierski i wykazał się przed innymi narodami, zakasowując Niemców i Francuzów zdolnościami kolonizatorskimi. Może nie zdały egzaminu kompanie kolonizacyjne, ale zdał go świetnie chłop polski, walcząc skutecznie z przyrodą tropikalną i szerząc kulturę. Wychodźstwo nasze z Ameryki Południowej stanowi pod tym względem dla Polski cenny nabytek, jako siła twórcza, mogąca w przyszłości postawić Polskę w pierwszym rzędzie mocarstw kolonialnych."

Ale to, czego korespondent "Dziennika Związkowego" nie dopowiedział, wiedziony widać chęcią niezrażania Polonii Amerykańskiej, to teraz, stawiając kropkę nad i, stawia przed oczy Polonii Stanów Zjedn. jej własna prasa. "Dziennik dla Wszystkich" w artykule pod wymownym tytułem "Ciągle nas wyprzedzają" tak tę rzecz ujmuje:

"I trzeba z przykrością zauważyć, że jak do tej pory Polonia Amerykańska dała się zdystansować zupełnie innym skupieniom polskim poza granicami Kraju.

Rozpoczęła się rekrutacja do Armii Polskiej w Kanadzie. W tym samym czasie zaczęto tę akcję na terenie Ameryki Południowej, hen w Argentynie i Brazylii czy po innych mniejszych i większych republikach łacińskich.

I tam Polonie, te dużo słabsze liczebnie, biedniejsze, gorzej zorganizowane odpowiedziały na głos Macierzy dużo lepiej, jak my tutaj zasobni, bogaci i liczebnie dziesiątki razy silniejsi.

NOWE SPOJRZENIE NA EMIGRACJĘ WE FRANCJI

Porównywanie wysiłków dwóch emigracyj—w Stanach Zjedn. i Ameryce Południowej — nieuchronnie przywodzi na pamięć tę emigrację polską, która się już skrwawiła, która już raz była głównym oparciem dla odradzającego się po klęsce wrześniowej wojska polskiego: emigrację polską we Francji. W świetle porównawczym wypadków, bilans jej wysiłków wypaść musi dodatnio. "Dziennik dla Wszystkich" w artykule p.t. "Gotowi nas zawstydzić" tak ujmuje wkład emigracji polskiej we Francji:

"Biedna Polonia we Francji, licząca najwyżej jakieś pół miliona ludzi, to jest jedną dziesiątą tej siły, jaką się tutaj mamy zwyczaj chwalić, dała bez krzyku, bez rozgłosu, bez hałasu, bez reklamy,—około 60-ciu tysięcy ochotników do wojska polskiego. A przecież Francuzi robili im wszystkie możliwe wstręty, a przecież niemal wszyscy ci chłopcy, to już tam rodzeni obywatele.

I poszli, można powiedzieć, od razu jak w dym na front i bili się, jak same diabły, aż się Francuzy dziwiły i rumieńcem wstydu zalewały a Niemców cholera brała, że tych Polaków ciągle gdzieś przybywa i wszędzie, gdzie się tylko przychodzi im bić, stoją zawsze Polacy, czy to we Francji, czy w Norwegii czy na powietrzu czy na morzu.

Tak to Francuska Polonia już nas zawstydziła, bo o tym abyśmy jej dorównać mogli, to szkoda nawet marzyć, boć potrzeba by było dać do Polskiej Armii w Kanadzie pół miliona ludzi, pomyślmy tylko—pół miliona ludzi, a to jest poza dyskusją."

A w cytowanym już artykule "Ciągle nas wyprzedzają" to samo pismo jeszcze wyraźniej określa rozmiary tego zjawiska:

"A trzeba sobie uświadomić, że było to około dziesięciu procent ogólnej liczby Polaków, zamieszkałych we Francji, czyli procent olbrzymi i niespotykany nigdy w dziejach. Tysiące tych Polaków, co nawet Polski nie znali, padło na pobojowiskach, tysiące znalazło się w obozach jeńców, czy zostało internowanych w Szwajcarii, wielu rozproszyło się po całym świecie i z wolna ściągają się dopiero znowu pod sztandary. Ale duch Polonii Francuskiej zapłonął wspaniałym ogniem zapału i dał Macierzy co tylko mógł."

Sądowi temu można tylko w pełni przytaknąć. A mówiąc o tym wysiłku emigracji polskiej we Francji nie należy zapominać o okoliczności, która jej ofiarności nadaje szczególnie znamienną cechę. Było to przecież pokolenie ludzi wydziedziczonych we własnej ojczyźnie, pokolenie chłopów małorolnych lub bezrolnych i robotników fabrycznych. To pokolenie, pozbawione znajomości języka, potrafiło wrosnąć w całkowicie nowe warunki i nie stracić jednocześnie łączności z krajem. Potrafiło przełamać te trudności, które jako wynik tarć polsko-francuskich w dobie Becka niesłusznie jako wtórny refleks odbijały się na tej emigracji. A w chwili decydującej—po katastrofie wrześniowej — stanęło z całą ofiarnością niepomne dawnych krzywd i uraz.

Adam Ordęga

Pomoc dla Polaków w Rosji

Otrzymaliśmy następujący list:—

5.XII.1941.

Drogi Redaktorze,

"Polska Walcząca" jest bodaj jedynym pismem polskim na emigracji, które akcentuje stale ważność sprawy pomocy dla Polaków w Rosji. Dziś, gdy nie możemy niestety pomagać naszym bliskim w Kraju, pomoc dla mas polskich w Rosji jest w ramach akcji dobroczynnej zagadnieniem naczelnym, pierwszorzędnym, jest po prostu kwestią ratowania biologicznej egzystencji dwumilionowej masy. Nie możemy usypiać swego sumienia twierdzeniem, że ten obowiązek spada na barki naszego rządu czy Polonii Amerykańskiej. Nie, jest to obowiązek moralny każdego Polaka tutaj, w Wielkiej Brytanii, zarówno żołnierza, jak i cywila.

Cyniczna demagogia polityczna starych polskich reakcjonistów jątrzy w tej sprawie, rozdziera obłudnie szaty; zamiast wzywać do pomocy dla tych nieszczęśliwców, bawi się w rozgrywki polityczne i osobiste. Jej nie chodzi o los Polaków w Rosji, jej idzie o władzę, czy raczej nawet ściślej mówiąc, w naszych warunkach emigracyjnego życia—o pochwycenie cienia władzy.

W tych warunkach dobrze się stało, że bodaj tygodnik żołnierski stale przypomina sprawę pomocy dla Polaków w Rosji. Mamy szacunek dla p. St. Sz. za jego wzruszający apel. Cieszymy się, że ostatnio znów nam wszystkim o tym przypomniał p. W. Budzyński. Na pańskie ręce Drogi Redaktorze pozwalam sobie złożyć £5.0.0. na ten cel.

Łączę wyrazy szacunku.

Ryszard Malski

P.A.J. przesłał do redakcji "Polski Walczącej" sumę £2.

* * *

Obie te sumy oraz £3, przesłane przez Dyrekcję Polskiej Y.M.C.A., razem £10—przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi z przeznaczeniem na Pomoc dla Polaków w Rosji.

Szkic sytuacyjny

DOLEKOWSCHODNIA POŻOGA

A więc zaczęło się. Burza wisiała w powietrzu nie od dzisiaj, starania jakie czynił wysłannik specjalny Japonii do Waszyngtonu, Kurusu, przypominały mocno wysiłki czynione na kilkanaście czy kilka jeszcze dni przed wybuchem wojny we wrześniu 1939 na linii Londyn-Berlin.

Japonia zaczęła wojnę według klasycznych metod niemieckich i nie ma dwóch zdań, że *uczyniła to w pełnym porozumieniu z Berlinem.* Napad samolotów japońskich na *Pearl Harbour* i *Guam* miał wszelkie cechy zaskoczenia i znanych już sposobów siania paniki. Japonia na przód zbombardowała bazy amerykańskie, a potem dopiero rzuciła rękawicę wypowiedzenia wojny Stanom Zjd. oraz Imperium Brytyjskiemu.

Wojna na Dalekim Wschodzie jest faktem: ogarnie ona Indie Holenderskie, Indochiny, przejdzie na Chiny od południa—przypuszczać wolno, że i Rosja niebawem zostanie wciągnięta w kabałę, chociaż narazie Japonii jest wygodnie trzymać w szachu Rosję, ażeby baza *we Władywostoku* nie miała pokus działania. Uderzenie z tej bazy na pobrzeże Japonii byłoby nader niemiłe dla miast japońskich wyjątkowo — łatwopalnych.

SIŁY JAPONII

Z czym wchodzi Japonia do wojny przeciwko U.S.A. i *British Empire*? Nie znamy sił lądowych Japonii, jakimi rozporządzać ona może poza obszarem Chin. Siły te przypuszczalnie są wcale poważne, a zgromadzenie tych sił w Indochinach—zdrada Francji okazała się tu niezmiernie groźna—jest napewno znaczne. W danej chwili chodzi jednak przede wszystkim o *flotę wojenną* oraz *lotnictwo*, chociaż wiele wskazuje na to, że Japończycy będą używać także wojsk spadochronowych.

Siły powietrzne Japonii pozostają w dziedzinie domysłów. Pewni znawcy twierdzą, że Japonia nie posiada więcej jak 3,000 samolotów wszelkich typów, w tym 1,000 pościgowców. Cyfra ta wydaje nam się nieco skromna. Z działań, jakie Japończycy przeprowadzają od lat bodaj pięciu nad Chinami i ze strat, jakie ponoszą, wnioskować by trzeba, że lotnictwo japońskie jest silniejsze, niż to się powszechnie sądzi. Natomiast *jakość pilotów* nie może być nadmiernie wysoka. Wreszcie jest ważna sprawa: *benzyny lotniczej,* po którą Japonia sięgnie—do Indii Holenderskich.

Siły morskie Japonii nie są również ustalone z całkowitą pewnością. Faktem jest, że Japonia posiada *trzecią z kolei flotę wojenną na świecie,* w której skład wchodzi 9 tzw. *capital-ships,* 5 lotniskowców, 12 ciężkich krążowników, 27 krążowników, 112 kontrtorpedowców i t.d. Są jednak inne, nieurzędowe dane, które uważają, że Japonia posiada n.p. nie 59 łodzi podwodnych, ale ponad 70 a nawet około 100. Te nieurzędowe dane przedstawiają stosunek jednostek bojowych U.S.A. do jednostek Japonii jako 350:225. Poprawki, dodane przez niektórych obserwatorów mówią, że stosunek ten zbliża się dzisiaj—Japonia budowała w ostatnich czasach w niebywałym pośpiechu nowe jednostki—do 350:250.

FRONT ABCD

Front w Azji, jeżeli chodzi o państwa sojusznicze oprze się na tzw. bloku państw ABCD */America, Britain, China, Dutch Indies/.* Przypuszczalnie dojdzie niebawem Rosja sowiecka. Bazy, skąd będzie się działać są niesłychanie *rozrzucone*: Singapore, Australia, Nowa Zelandia, Hong-Kong, Manila. Tym samym wojna będzie miała charakter bardzo "ruchomy" a główne działania—poza uderzeniem japońskim przez Indochiny, którego należy oczekiwać—odbywać się będą *na morzu i w powietrzu.*

Jaki będzie wpływ wojny na Dalekim Wschodzie na całość wojny—trudno w tej chwili przewidzieć. To jedno jest jasne i cenne:

Stany Zjd. wkroczyły do wojny. Wkroczyły do wojny, tak, jak to dosyć powszechnie przypuszczano, przez drzwi dalekowschodnie, ale są w wojnie z jednym z partnerów państw osi. Od tej wojny do wojny z Rzeszą—jest już wcale blisko.



SYTUACJA W ROSJI

Działania na froncie sowieckim mają przebieg, który nazwać można bez przesady *pomyślniejszym* dla armii czerwonej. Na południu armie von Kleista poniosły porażki, cofają się. Tym samym planowana akcja w stosunku do Kaukazu opóźnia się. To odprężenie się frontu południowego jest rzeczą wysoce pocieszającą; ale także na odcinku moskiewskim postępy niemieckie są hamowane i widać wyraźnie, że warunki atmosferyczne, zima, surowość klimatu robią swoje. Wojska niemieckie *nie muszą być w najlepszym nastroju,* a twardy opór sowiecki jest dla nich najprzykrzejszą z niespodzianek.

Wydaje się, że Rzesza musi przygotowywać już dzisiaj *kampanię wiosenną,* ale że do tego czasu straty niemieckie na froncie wschodnim, i to nie tylko straty czysto wojenne, ale straty wywołane klimatem, pogodą i t.d. będą ogromne.

Stary rok kończy się nielada wypadkiem—Nowy Rok winien *przynieść dalsze rozpanoszenie się pożaru.*

Londyn, 8 grudnia 1941.

Zbigniew Grabowski

Z życia obozów

Co w wodzie piszczy?

—Wie pan, w Polsce na ogół mało wiedziano o morzu. Ja sam myślałem, że marynarz musi mieć krzywe nogi, zataczać się na ulicy, palić fajkę i wiele t.p. bzdur. Naturalnie wówczas człowiek jeszcze nie widział świata.

—A teraz?

—Wiadomo, wiele się przeżyło, wiele się zobaczyło. Teraz wiem, że to chłopcy dobrze ubrani, można powiedzieć eleganccy . . . Patrz pan, właśnie wracają z kościoła. Czwórki wyrównane, miarowy stukot butów o asfalt . . . To właściwie jest zwykłe wojsko, tylko o wiele barwniejsze. Tak, jak ich życie. Wczoraj byli gdzieś z drugiej strony morza, dzisiaj tu . . . a jutro tam, można powiedzieć. To musi być przyjemne, co? Widziałem w kinie jak dekorowano . . .

Mój rozmówca zrobił mi cały wykład o marynarce. Wysłuchałem go spokojnie, poczem pożegnałem się i odszedłem.

Hm, rzeczywiście, on widział marynarzy. Widział jak ich dekorowano na filmie, jak wracali z kościoła — czwórki wyrównane, ubrani elegancko, w takich efektownych, granatowych mundurach . . .

A więc wracają. Trudno odróżnić jednego od drugiego—tacy są podobni do siebie, gdy idą. Ale wreszcie są już na okręcie. "Rozejść się"—pada komenda i nagle . . . nie, to była pomyłka, przecież oni tak się od siebie różnią. To przecież zwykli ludzie: jeden wysoki, drugi mały, jeden chudy, drugi gruby, rozmawiają, śmieją się, lub milczą: ale przede wszystkim pracują—ciężko pracują.

— — — — — — — — — —

—To jest zwykła pętla!

—Nie, to węzeł kiełbaskowy. Przekładasz jeden koniec przez ucho, następnie wrzucasz do nawiewnika.

—Przecież to nawiewnik od kuchni! I w ogóle . . .

—Cisza! Po energicznym szarpnięciu wybierasz luz, ciągniesz i na końcu widzisz . . .

—Dobre, co?

—Tak, ale właściwie, jako idealista, i że tak powiem, o zamiłowaniach humanistycznych . . . I w ogóle, człowiek z fakultetem . . . pssst! Bosman idzie!

— — — — — — — — — —

—Samolot kąt kursowy dwieście dziewięćdziesiąt, wysokość pięć tysięcy, szybkość trzysta, krótkie serie—paaaal!

—Odpalone! Odpalone! Odpalone! Odpa . . .

—Ogień ciągły!

—Odpalone, odpalone, odpalone . . .

—Torpeda! Cztery samoloty kąt kursowy stodwadz . . .

—Odpalone, Odpalone, odpalone . . .

—Jeden wykończony, chwała Bogu przeleciały. Odbój alarmu—ogłosić klaksonem!

—Panie bosmanie, melduję posłusznie, podczas strzelania te jajka, co to były przygotowane, spadły z szafki . . .

— — — — — — — — — —

—Wiesz, czasami są chwile, że naprawdę dostajesz prawie obłędu. Zwalają się na głowę wszystkie wspomnienia i nic już nie pomoże —musisz o tym myśleć. Wtedy wszystko ci przypomina minione czasy, nawet wiatr i słońce, nawet niebo i chmury, nawet deszcz . . . chociaż jest tutaj taki inny. Czy ty także masz czasem takie chwile?

—Może nie w tak wielkim stopniu, ale jednak opadają mnie wspomnienia. Tylko, że myślę o tym co raz rzadziej. Dawniej co noc widziałem we śnie matkę. A teraz . . . co raz rzadziej . . . co raz rzadziej . . .

—Posłuchaj, może to jest nawet dobrze, bo zato musimy skupiać myśli na samej walce, na samym sposobie powrotu. Wprawdzie nie ma się co zbytnio skupiać przy wykonywaniu rozkazów, ale można obserwować życie polityczne . . . chociaż wprawdzie i tak to robimy, ale . . .

—Wiem. Po prostu nie możesz się wytłumaczyć. Bo musimy pamiętać o Polsce. Nie wolno nam zapominać ani na chwilę, bo stopniowo będziemy ziębnąć co raz bardziej. Może to jest przykre, ale tyle ślubów ze Szkotkami . . . życie z dnia na dzień . . . my musimy pamiętać!

— — — — — — — — — —

Od dwuch lat wszystko jest inne —wszystko na zewnątrz: dziwni ludzie, wilgotne powietrze, niezdrowe jedzenie, murzyńska muzyka—i wszystko wewnątrz: myśli i uczucia, wspomnienia i marzenia. Tylko morze zostało takie same—niezmienne, chociaż co dzień nowe, okrutne, chociaż takie drogie.

To jakby druga ojczyzna, chociaż to właściwie jedna ojczyzna: Polska i Morze.

Józef Miłobędzki

CZOŁGI JADĄ— WOLNA DROGA

na melodię starej ułańskiej piosenki

Czołgi jadą—wolna droga!
Du, du, du!
Mamy rozkaz zmiażdżyć wroga . . .
Du, du, du!
Ja w pół drogi nie zostanę,
Chyba kulą w łeb dostanę . . .
Oj, du-du, oj du-du, du!

Warczy motor, pancerz dzwoni:
Dzyń, dzyń, dzyń!
Jadę sobie we sto koni . . .
Dzyń, dzyń, dzyń!
W pewnej ręce—kierownica,
Broń za tarczą—błyskawica . . .
Oj dzyń-dzyń, oj dzyń-dzyń, dzyń!

Po pancerzu kule dzwonią:
Dzeń, dzeń, dzeń!
Lecz łzy matki nie ochronią
W noc i w dzień!
Za krew braci—Niemcom kara!
A więc na przód razem wiara!
Oj dzeń-dzeń, oj dzeń-dzeń, dzeń!

Pędzi czołg mój—wroga gniecie . . .
Tak, tak, tak!
Nad pancernych—nie masz w świecie!
Tak, tak, tak!
Ja nie spocznę, aż dożyję,
Że czołg w Wiśle mój obmyję . . .
Oj tak-tak, oj ta-tak, tak!

Roman Gilewski

Alarm wyrywa ze snu!

Spałem sobie spokojnie na słońcu w piękny dzień, gdy nagle krótki raport telefonisty postawił mnie na nogi!

—"Samolot nieprzyjacielski na 30 tysiącach stóp w kierunku południowym."

—"Zapuszczać moją sekcję" —krzyknąłem i pędem pobiegłem po spadochron, który leżał na skrzydle samolotu. Za kilka sekund wsiadałem już do zapuszczonej maszyny i sprawdziwszy wszystko zacząłem kołować, kiwając na kolegę, który podążał w ślad za mną.

Bardzo szybko dwie maszyny były już w powietrzu i kierowane przez radio szły określonym kursem, wspinając się na oznaczoną wysokość. Ciągnąłem na pełnym gazie, rozglądając się wokoło, by jak najszybciej dojrzeć nieprzyjaciela.

Mijały minuty, wysokość rosła co raz bardziej, a tu wokoło spokojnie—piękny, bezchmurny, ciepły dzień, nic nie mający w sobie groźnego, raczej uspasabiający łagodnie. Włączyłem inhalator i stale z największym wysiłkiem maszyny wznoszę się, by jak najprędzej być na wysokości wroga.

Kilka razy zmieniłem kurs na żądanie kierownika ziemnego i wreszcie jestem na 30 tysiącach stóp. Rozglądam się wszędzie i nic nie widzę, choć właściwie powinienem już był nieprzyjaciela zobaczyć.

Mija znowu kilka minut równego lotu i wreszcie niżej, o 2 tysiące stóp przede mną dostrzegam samolot. Daję znak koledze i od razu szybko zawracam, by od słońca wykonać atak z zaskoczeniem. Jestem pewny, że nas nie widzi, bo leci zupełnie spokojnie na kurs, trzymając jednakową wysokość.

Szybko podszedłem ze słońcem i składam się do ataku. Poznaję —to Ju. 88, idzie na wywiad. Składam się i zaledwie z 100 metrów oddaję serię celując w prawy silnik i skrzydło. Zakotłowało się coś w wieżyczce strzelca i już jest po moim ataku.

Szybko odszedłem i przygotowuję się do drugiego ataku, a teraz mój towarzysz dochodzi do głosu. Widzę jak atakuje, ale już mu trudniej, bo strzelec obudzony moim atakiem strzela jak szalony. Nagle przerywa, widocznie kula kolegi unieszkodliwiła go.

Podchodzę drugi raz i znowu strzelam z bliska w to samo skrzydło i silnik. Widzę także skutek pierwszego ataku, bo silnik przerywa i kopci. Teraz go poprawiam. Mój kolega jakby się umówił, morduje drugi silnik po unieruchomieniu strzelca z górnej wieżyczki.

Trzeci atak unieruchomił zupełnie prawy silnik i samolot zaczął planować w kierunku lądu. Lewy silnik też już wadliwie pracuje, więc wiadomo, że ofiara nam nie ucieknie. Podchodzę jeszcze raz, by unieruchomić wroga całkowicie, a tu przekonuję się, że skończyła mi się amunicja i teraz tylko muszę czekać aż szkop rozbije się o wodę, lub wyląduje, jeżeli zdoła dociągnąć.

Kolega zaraportował mi przez radio, że wraca na lotnisko, bo silnik mu przerywa. Ja zostaję i krążąc nad planującą maszyną czekam, bo chcę wiedzieć, jaki będzie koniec wroga. Do lądu już jest niedaleko i wygląda na to, że uda mu się lądowanie.

Obserwuję z napięciem, bo już sekundy dzielą od lądowania i nagle widzę kurzawę, potem dym! Po kilku sekundach oceniam co się stało. Junkers nie zdołał dociągnąć do lądu i rozbił się o skałę nadbrzeżną zaledwie o kilkaset metrów od pięknego pola. Teraz widzę jak ogarnia go płomień po eksplozji zbiorników benzyny.

Szybkim skrętem podążyłem na lotnisko. Po powrocie zaraportowałem dowódcy, że samolot Ju. 88, zestrzelony przez nas stoi w płomieniach na wybrzeżu, a potem ułożyłem się na słońcu, by kontynuować przerwany alarmem sen. Niestety spało mi się gorzej.

Ignacy Falkowski

Znaczki propagandowe wydane przez Wydział Kulturalny I.P.S.P. Zasługują one na najszersze rozpowszechnienie

Swięto podchorążego w Szkole Podchorążych Piechoty

Dzień 29 listopada—rocznica wybuchu powstania listopadowego, rocznica zbrojnego czynu podchorążych—nasuwa nam najrozmaitsze myśli.

Wspomina się wielkie zdarzenie historyczne. Nawraca się do drogocennych murów Warszawy, uwieńczonych dziś krzyżami z nad mogił obrońców. Murów, które nas oczekują. Po powstaniu listopadowym pozostała wiecznie żywa legenda wysiłku zbrojnego pokolenia. Srebrnieje blaskiem poezji i historii. Barwy rodzajów broni, jakie po dziś dzień nosimy na brytyjskich battledressach—to spadek listopadowy. I piękny tytuł podchorążego w wojsku polskim.

Dwukrotnie poza Polską odbudowana Szkoła Podchorążych Piechoty, w ów historyczny, rocznicowy dzień, będący przecież niczym innym jak świętem podchorążego—zorganizowała obchód uroczysty dla całego garnizonu miejsca postoju.

Rozpoczął się ten listopadowy dzień w Szkole zgodnie z programem. Z rana strzelnica, potem porządki normalne jako na zakończenie tygodnia. Wieczorem—uroczystość.

Gdybyśmy się znajdowali w Warszawie, to tradycją lat—zaciągnięto by wartę w Łazienkach. Kompania Szkoły Podchorążych z Komorowa przedefilowałaby w historycznych mundurach ulicami Warszawy. Chwilowo jesteśmy poza Polską. I tylko myśli wybiegają tam, ku Ojczyźnie, gdzie dotychczas trwa przemoc wroga.

Szkoła Podchorążych Piechoty, przy współudziale referatu kulturalno-oświatowego Pierwszej Brygady Strzelców — zorganizowała uroczysty obchód, by dać żywej prawdzie listopadowej świadectwo naszych wzruszeń i myśli. Szkockie władze szkolne miasta z wielką gotowością użyczyły na ten cel pięknej sali Rockwell Central School.

Artyści—elewi Szkoły Podchorążych udekorowali własnym przemysłem scenę. Z wycinanek kolorowego papieru, rysunków, wykonali dekorację, doskonale wyrażającą nastrój święta. Górował nad sceną orzeł, niżej z dwu stron wizerunki podchorążych: tego w mundurze historycznym z 1830 roku i tego, który polską treść walki i tęsknoty kryje pod płaskim hełmem i battledressem brytyjskim. Pośrodku kompozycji czerniła się data 29 listopada 1830. Data rozpoczęcia powstania listopadowego. Dzień orężnego zrywu podchorążych.

Na uroczystość przybyli przedstawiciele wojskowych władz polskich i brytyjskich: Komendant Szkoły Podchorążych ppłk. K., oficerowie Szkoły, oficerowie sąsiednich oddziałów. Sporo żołnierzy towarzyszących miejscowemu społeczeństwu szkockiemu.

Uroczystość rozpoczęła orkiestra brygadowa "Warszawianką." Przewiał salą nastrój . . .*Oto dziś dzień krwi, i chwały, oby dniem wskrzeszenia był.* Rozsnuł się Grochowem, Stoczkiem, Ostrołęką, obroną Woli . . . Podchorąży C., wychowanek niedawnego kursu podchorążówki — wygłosił przemówienie, nawiązując do wypadków z przed stu i jednastu laty. Podchorąży B., również wychowanek poprzedniego kursu—to samo, w streszczeniu ujął po angielsku—dla obznajmienia z naszą rocznicą szkockich gości.

Następnie odbyła się część koncertowa, w wykonaniu zespołu Teatru Polowego I Brygady Strzelców i chóru Baonu Podhalańskiego. Brygada nasza prowadzi szeroką działalność kulturalno-oświatową. Zainicjowała teatr polowy, który po inauguracji pełną parą pracuje dalej. Zespół dał szereg deklamacji, indywidualnych bądź zbiorowych. Wykonał tańce narodowe. Ze sceny szkockiej szkoły szły ku widowni rozgrzewające, podnoszące na duchu, wielkie, nieśmiertelne słowa poezji polskiej z "Modlitwą Konrada" na pierwszym miejscu.

Chór Baonu Podhalańskiego odśpiewał kilka pieśni. Zademonstrował duże bogactwo repertuaru, szlachetne głosy. Pełne śpiewaczej kultury ich brzmienie, mimo, że to żołnierski zespół, chórem stający się poza normalnymi zajęciami . . .

Orkiestra brygadowa rżnęła polskie "kawałki" od ucha do ucha, mazurki i oberki. Trzęsła się szkocka szkoła, słysząc po raz pierwszy polskie melodie. Słyszała też po raz pierwszy słowo polskie. Hymny: polski i brytyjski zakończyły uroczystość.

Brać żołnierska wysypywać się poczęła w ciemną, listopadową noc. Szkoci pokazywali, wyróżniających się pelerynami i beretami Podhalańców:

—*You see, Polish Highlanders* . .

Brać żołnierska znikała w ciemnej, deszczowej nocy szkockiego miasta. Rzekłbyś, że wśród drogi wojennej, niezmożonej, wytrwale —ku dalekiej Polsce.

Wawrzyniec Czereśniewski

Do korespondentów P. Mackiewicza

W broszurze p. Stanisława Mackiewicza (Cata): "Grudzień 1941" (str. 34-35) anonimowi korespondenci, podpisujący się "Strzelcy w Szkocji" jeszcze raz wracają do bezspornie wyjaśnionej sprawy żniw i poruszają nową sprawę żołdu. Przy tej sposobności pozwalają sobie na takie twierdzenie: "W sprawach dotyczących drobiazgów życia żołnierskiego "Polska Walcząca" aż nadto często rozmija się z istotnym stanem rzeczy."

Można by się w tym dosłuchać pośredniego uznania, że w niedrobiazgach, w zagadnieniach istotnych, sprawach zasadniczych to żołnierskie pismo nie "rozmija się" ze swoim przeznaczeniem. Nie idzie nam o to uznanie. Idzie o fakt niekoleżeńskiego, generalnego zarzutu przeciw własnemu pismu, zarzutu poddającego w wątpliwość dobrą wiarę tych, którzy w nim piszą i którzy je robią.

To jest prawda, że nie uprawia ono demagogii, żadnej i pod niczyim adresem. To jest prawda, że stara się nas łączyć a nie dzielić. To jest prawda, że usiłuje ciągle ustalać hierarchię ważności spraw polskich. To jest także prawda, że unika wywlekania rzeczy, mogących służyć tylko wrogiej robocie, która z niespodziewaną, ochotniczą a gorliwą pomocą wśród nas samych—usiłuje konsekwentnie rozbijać nasze wojsko.

Ale nie jest prawdą, aby "Polska Walcząca" kiedykolwiek świadomie "rozminęła się z istotnym stanem rzeczy." Artykuł o żniwach pisał kolega podchorąży, który sam brał w nich udział i miał możność naocznie sprawdzić rozporządzenia regulujące tę ponad miarę rozjątrzoną sprawę. To, co pisał zostało potwierdzone przez autorytatywne wyjaśnienie władz wojskowych—zatem było i jest "wiarogodnym dowodem." Dla ludzi dobrej woli.

Wzywamy anonimowych korespondentów p. Mackiewicza, aby wskazali choćby jedno rozminięcie z "istotnym stanem rzeczy" na tych łamach. Sprostujemy je, będziemy prostować zawsze. Chcemy służyć prawdzie, nie kłamstwu, sprawie wspólnej, nie demagogii pojedyńczych ludzi.

Bo tylko tak jest—po żołniersku.

Tymon Terlecki

Bez black-outu

Nadajemy trzecią premierę. Dzisiejsze słuchowisko nosi tytuł: "*Na perthkim jarmarku.*"

Osoby:

Stary Wiewiórka, b. bomb. art. polskiej,

Betty z Breakfastów Wiewiórkowa, jego żona,

James, ich syn,

Prof. dr. Hipolit Mól, b. kapral W. P. w Szkocji,

Dr. Zenobi Pistolet, asystent, były ppor. W. P. w Szkocji.

Rzecz się dzieje w r. 1961 sommewhere in Poland.

Jest pora wieczorna. Mieszkanie P. P. Wiewiórków, "sitting room," gdzie płonie wielki kominek. Pani Wiewiórkowa smaży "fish" w kuchence. Woń unosi się w całym mieszkaniu. Stary Wiewiórka w battledressie z r. 1941 z orderami, lecz w cywilnych spodniach, krząta się około stołu szykując podwieczorek. James siedzi w fotelu przy kominku i czyta pamiątkowe wydanie jubileuszowe "Listów perthkich."

/Dzwonek przy drzwiach wejściowych./

Wiewiórka: To oni, sweatheart, to oni.

Betty /oburzona/: *Five minutes too late.*

/Wchodzą prof. Mól i dr. Pistolet ubrani wizytowo./

Wiewiórka: Czołem, kombatanci, czołem.

/prowadzi ich do sitting roomu, za nimi podąża Betty z półmiskiem "skippersów"./

James /zaczytany w "Listach perthkich" ani drgnął/.

Wiewiórka: O, właśnie . . . . mój pierworodny uleczony, normalny. James, mamy gości.

James /nagle zerwał się i mocno trzasnął obcasami/.

Pistolet /mile zaskoczony kiwnął głową łaskawie/ *Ot i można powiedzieć kuracja podziałała.*

Mól /zdziwiony/ *Nigdy tego nie robił. James, co to znaczy?*

James: Strzelanie obcasami w permanencji, czyli zabijanie inteligencji /ciska zbiorowym wydaniem listów w czajnik z herbatą/ *Wy, wy, zabijaliście inteligencję, w głowie wam była jakaś wojenka, szkolenia, ćwiczenia, zbrojenia, wojowania— zamiast kształcić, oświecać, urlopować bezterminowo na uniwersytety, zamiast puszczać czołgi zagonami na politechnikę, zamiast lotnikom dać skrypta, dawaliście samoloty i jazda nad Niemcy, a mogli chodzić całą wojnę na uniwerek. Co raz lepiej was poznaję. Chorowałem poważnie przez waszą prasę emigracyjną, teraz gdy wyrwali mnie z objęć bakcyla "polemikomanii" znowu na odmianę to.* /strzela nerwowo obcasami/

Pistolet /rozczarowany/ *Więc to choroba. Nie duch militaryzmu, dyscyplina.*

Betty: Tea ready, James.

Wiewiórka: Kubuś—bo ja do niego zawsze po naszemu— Kubuś, ty najlepiej o niczym nie myśl i nic nie mów.

James: Ach, nie myśl, nie mów . . . To samo mówiliście wtedy tam, tam . . . na perthkim jarmarku. A właśnie, że będę mówił.

Mól: Wiesz co, James, wypijmy razem herbatę i pogadajmy. Byłem kapralem w "oerach" w Szkocji i mogę ci dużo ciekawych rzeczy opowiedzieć.

Wiewiórka: Twój tatuś, Kubusiu, był bombardierem artylerii.

Pistolet: A ja, jakby nie było, byłem można powiedzieć alfą i omegą z tytułu mego stanowiska i znałem wszystkie elementy w sprawach ściśle poufnych, będąc tak zwanym "człowiekiem dobrze poinformowanym."

Mól: Dlatego pan, panie Zenobi, najmniej wiedziałeś. My w namiotach, wiedzieliśmy znacznie więcej.

Wiewiórka: Kubuś, pytaj o co chcesz, tylko siadaj do stołu, bo kombatantom "skipper" stygnie.

James: A zatem panie profesorze Mól, niech pan mi powie, jak ta sprawa naprawdę wyglądała, bo ja . . . nie kapuję, słowo daję, że nie kapuję . . .

Mól: Młody człowieku, jak ci wiadomo, twój ojciec i ja należeliśmy w Szkocji do kategorii "prajwetów" z cenzusem, czyli inteligencji w battledressach. Fragment tej szlachetnej szaty oglądam dziś ze wzruszeniem na tobie, drogi mój stary.

Wiewiórka: Hipciu, daj pyska.

Pistolet /pod nosem/ *Kołnierz niezapięty.*

Mól: Ty młody Wiewiórko, synu starego Wiewiórki z matki szkockiej poczęty, wczytujesz się w stare książki, listy i pamiętniki naszych wieszczów emigracyjnych. Są one jednak często anachronizmem, często w nich się bowiem mówi, że armia polska w Szkocji stoi i nic nie robi i niczego robić nie będzie, a spójrz na pierś twego ojca. Medale dają ci odpowiedź: ten pierwszy w kształcie litery "W" to medal za zbrojne bezrobocie . . .

James: "W"—to od whisky?

Wiewiórka: Wytrzymałość! Wytrwałość—wyrodku.

Mól: Ten drugi w kształcie łopaty—to za kopanie kartofli na szkockim polu, ale już ten trzeci dany jest za walkę z wrogiem na polu bitwy, a czwarty za desant na kontynent. Tak więc prawdę czytaj z faktów, a nie z przestarzałych dokumentów, które, niestety, ocalały.

James: Dlaczego "niestety"?

Mól: Narobiły one bowiem wiele złego.

Pistolet /biorąc czwartego skippersa/ *Hańba!*

Mól: Ja sam np. jestem ofiarą tej niezwykłej historii, względnie histerii. Czy nie zauważyłeś, młody człowieku, że nie mam żadnego odznaczenia . . .

James: A, rzeczywiście! Jaka przyczyna?

Mól: Bardzo prosta: kiedy pewne koła rozpętały akcję o więcej oświaty w wojsku, o studia uniwersyteckie dla żołnierzy, o stworzenie politechniki w U.S.A. dla żołnierzy polskich ze Szkocji, rozstałem się z twoim ojcem i razem z oddziałem "Oerów" odkomenderowany zostałem do ukończenia studiów na uniwersytecie w Południowej Ameryce.

Pistolet: Pamiętam, pamiętam. Rozkaz 722/42. Wtedy poszedł cały "I DAC" na politechnikę do Argentyny, I pułk czołgów na eksportówkę do Brazylii, a "Oery" do Urugwaju.

Wiewiórka /patrząc na Betty wzdycha ciężko/ *Ja zostałem w Perth.*

Pistolet: ...Sierżanci—szefowie płakali, jak bobry, bo żal im było armat i czołgów. Mieli zato wyładowane maski gazowe skryptami i książkami.

James /zaciekawiony/ *I co dalej, co dalej?*

Mól: Płakałem i ja, bo wprawdzie miałem trzy lata filozofii za sobą, ale nie przypuszczałem, że cała ta akcja oświatowa, przybierze dla mnie taki katastrofalny obrót. Nie na to przecież przedzierałem się przez Karpaty z Polski do Węgier, nie na to spałem na dziurawych strychach przez całą zimę w Coëtquidan, nie na to wiałem przez Pireneje i przez morze do Anglii, by skończyć jako kapral karierę żołnierską na uniwersytecie w Urugwaju.

Wiewiórka: Nie zapomnę tego momentu. Samotne czołgi i armaty stały na polach Szkocji, a cała wiara żołnierska waliła ze skryptami i książkami do portu.

Pistolet: I z walizkami, i z walizkami, mimo, że było waraźnie zaznaczone w rozkazie, że walizki przysługują tylko od chorążego w górę.

Mól: Na nasze miejsce przyszli rekruci z Kanady i Brazylii. W miesiąc potem zaś zaczął się ruch, nastąpiły znane wypadki, w czasie których armia polska ze Szkocji okryła się chwałą bojową.

Wiewiórka: Kropiliśmy jak cholera. Nie spełniły się przepowiednie złych wróżbitów o stukaniu obcasami do końca wojny. Stuknęliśmy Niemców, a potem przyszła robota kontynentalna.

James: Wyobrażam, co się tam działo z wami w Ameryce, profesorze.

Mól: Szaleliśmy! Pierwszy "DAC" zrobił strajk na politechnice w Argentynie, pierwszy pułk czołgów zdemolował eksportówkę w Brazylii, a my, biedne "Oery" w Urugwaju, spaliliśmy skrypty ze wściekłości. Za nas walczyli rekruci z Brazylii i z Kanady . . .

Wiewiórka: No i my i my. Ci, co pozostali w Szkocji. Szkoda gadać Hipciu. Stała się wam wielka krzywda. Ale to stare dzieje. Przeminęło, nie denerwuj się.

Mól: A właśnie, że nie przeminęło, tylko pokutuje w dalszym ciągu, nawet i w tym pokoleniu. Nie docenialiśmy niebezpieczeństwa. Scripta manent . . . Tak jest. Pozostały. I teraz James stuka obcasami w permanencji, mówi o zabijaniu inteligencji, rozczytuje się w starych publikacjach, nie zdając sobie sprawy z tego, że na perthkim jarmarku rozmaicie bywało, że na perthki jarmark zwożono różny towar. . .

Wiewiórka: Może to nareszcie, Kubuś, skapujesz?

Mól: Panie kolego Pistolet. Potrzebujemy pańskiej, cennej rady.

Pistolet: Rozkaz, Magnificencjo.

Mól: Pan, panie Zenobi, byłeś wychowawcą żołnierza, wychowawcą obywatela, może potrafisz razem z nami zadecydować o dalszych losach Jamesa, po jego szczęśliwym powrocie ze szpitala.

Wiewiórka: Właśnie z tej okazji, kombatanci, prosiłem was na "high tea." Co ja z nim zrobię, z tym moim dominialno-imperialnym synem. Najpierw czepiła się go ta "polemikomania," teraz znowu to . . . "perthkie oko."

Pistolet: Stroskany ojcze! Wasza Mignificencjo! I ty stroskana szkocka matko. Uważam, że James powinien pójść śladem swego bohaterskiego ojca, więc do wojska. Wojsko, jako takie. . . .

Mól: Kolego Pistolet, przecież chłopaka mamy ratować.

Pistolet: Może go posłać gdzieś na wyspę. . .

Wieiórka: Stary kawał. Najgorsze rzeczy z tego wychodziły.

Betty: A ja wam mowić, że James must every day more walking and more tea!

Mól: James okazuje duże zdolności do rozgrywek politycznych.

Pistolet: Nic dziwnego! Rodził się w Szkocji w okresie największego nasilenia pasji politycznych rodaków.

Mól: Myślę więc, czyby nie wykorzystać tych jego ukrytych talentów i . . . .

Wiewiórka: I co Hipciu? I co?—

Mól: I niech James będzie publicystą!

Pistolet: Byczo jest. Można mu będzie przygotować grunt przez zaprzyjaźniony ze mną "Z.P.U.W.SZ."

Wiewiórka: Z.P.U.W.SZ.?

Pistolet: "Związek Polaków Urodzonych w Szkocji." Mam również doskonałe stosunki w "Z.P.P.P.E."!

Wiewiórka: Z.P.P.P.E.?

Pistolet: "Związek Polaków Pokiwanych przez Emigrację"!

Mól: Tyle związków, tyle nowych związków.

James: Skończyliście? Teraz posłuchajcie, panowie. Zakładam mój własny związek młody, nowy, oparty na starej tradycji przodków, na najpiękniejszych wzorach emigracyjnych: "Z.W.Z.W."!

Wszyscy: Z.W.Z.W.?

James: "Związek Walki ze Wszystkimi." *Biada wam panowie. I wam z medalami i wam z uniwersytetami. Krew szkockich przodków z dalekiej Kaledonii zagrała we mnie. Jak mój prapradziadek Wallace runął na Anglików, tak ja runę na was. Nie będę publicystą, nie będę żołnierzem, nie będę filozofem. Będę "Z.W.Z.W." Będę warchołem, demagogiem, defetystą* /zaczyna tańczyć "Scottish Highland dance."/

Wiewiórka /patrzy z przerażeniem/ *Inna krew, nagła krew. . . .*

Mól: Nowe pokolenie. Rocznik 1941 *urodzony w Szkocji!*

Pistolet: Ja bym mu dał 14 *dni "ścisłego"!*

/James mieni się w oczach, jest w swoim tańcu dziki, zaczepny, wojowniczy/

Wiewiórka: Ten taniec mi coś przypomina. . .

Mól: Tak tańcowała kiedyś przed laty na perthkim jarmarku *wyzwolona w obliczu wojny siła wszelakiego zła. Tańcowały szalone pomysły, wirowały fantastyczne listy. . . Mienił się jaskrawymi barwami*—perthki dywan.

/Taniec Jamesa trwa, Betty do taktu robi na drutach, Wiewiórka pije do rytmu "Cup of tea," Mól bije głową o mur kominka, a Pistolet strzela obcasami/.

(Koniec słuchowiska)

Wiktor Budzyński

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Jesteśmy świadkami brzydkiej roboty destrukcyjnej uprawianej niemal bezkarnie. Broszurki p. Mackiewicza kolportowane są szeroko i jak dotąd nie spotykają się z należytą odprawą. Co znaczy to milczenie naszej prasy? Czy ta bierność oznacza wstręt do sporów i polemik, czy też jest ona wynikiem aprobaty dla mącicielskiej działalności?

Wydaje mi się, że jest w tym milczeniu i wstręt i aprobata. Gorsząca jest ta cicha afirmacja warcholskiej kampanii ale i wysoce zasmucająca jest bierność tych, których obowiązkiem jest piętnować fałsz, kiedy ten fałsz tak szerokie zatacza kręgi i tak niewątpliwie szkodzi sprawie polskiej.

W czasie nieobecności Generała Sikorskiego, który udał się do Rosji —p. Mackiewicz czyni wszystko, aby podważyć autorytet naczelnego wodza armii. W broszurce "Listopad" głosi p. Mackiewicz tezę, że Generał Sikorski miał prawo wyjechać do Anglii po upadku Francji, jako premier rządu, ale jako wódz naczelny miał obowiązek pozostać z resztą wojska, która nie zdołała się wyewakuować. Dopuszczanie takiej myśli jest głupstwem i to z rodzaju głupstw zbrodniczych.

P. Mackiewicz stara się najtańszą demagogią szkodzić Generałowi Sikorskiemu a przy pomocy jawnych kłamstw stara się wytworzyć konflikt między żołnierzem polskim w Anglii a -władzami tego kraju. Lekkomyślnie rzucone oskarżenie o niepłaceniu żołnierzom polskim przy pracach rolnych, przy jednoczesnym stwierdzeniu, że żołnierze brytyjscy otrzymywali pełne wynagrodzenie— miało jeden tylko cel. Wywołanie fermentu niezadowolenia. Kłamstwo to musiał p. Mackiewicz sprostować, ale wydaje się po prostu niedopuszczalne kolportowanie takich faktów bez najmniejszej próby stwierdzenia istotnego stanu rzeczy. Publicysta odpowiedzialny, gdyby nawet fakt taki istotnie miał miejsce, słusznie powstrzymałby się od rozgłaszania wiadomości mogącej przynieść tylko szkodę. Warchoł podaje takie fakty kłamliwe bez sprawdzenia.

W tej samej broszurce p. Mackiewicz głosi hasło nierównie szkodliwsze a równie kłamliwe. Oto co czytamy na str. 36: "*Hasła antytotalistyczne są tylko dekoracją dla narodowych interesów Anglii.*" Przecież identycznie to samo powtarza stale Goebbels! Przecież jest to podstawowa teza propagandy hitlerowskiej przeciw Anglii, stosowana w krajach okupowanych. Przed upadkiem Francji kolportowano stale opinie podobne wśród żołnierzy francuskich. Kolportowano również sprawę nierówności żołdu między armiami sojuszniczymi.

W broszurce p. Mackiewicza jest jedna jeszcze teza, bez której nie mielibyśmy pełnego obrazu tego osobliwego na terenie Anglii publicysty. To antysemityzm i to antysemityzm "rasistowski," gdyż p. Mackiewicz z całą świadomością, ludzi od paru pokoleń zasymilowanych, nazywa Żydami.

Pan Mackiewicz ma mi do zarzucenia wiersz i dowcip. Wiersz raczej słaby a dowcip nienajgorszy. Ja, jeślibym miał zaglądać w przeszłość p. Mackiewicza mógłbym wytoczyć zarzuty nieco poważniejsze. Chwali mnie p. Mackiewicz, że byłem publicystą zarówno antysowieckim, jak i antyhitlerowskim. Jestem pod tym względem najzupełniej konsekwentny. Byłem i jestem wrogiem zarówno totalizmu hitlerowskiego, jak i sowieckiego i mimo pozytywnego stosunku do paktu z Rosją, poglądów swoich nie zmieniłem. Muszę również p. Maciewiczowi przyznać podobną konsekwencję. Był zawsze publicystą anty-sowieckim i nigdy nie był publicystą anty-hitlerowskim. I to się nie zmieniło.

Zwracam uwagę czytelników na trucicielską i destrukcyjną robotę p. Mackiewicza, gdyż cisza, która towarzyszy jego mącicielskiej działalności jest ciszą gorszącą.

Antoni Słonimski

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.